**Nr. 32.** Lwów, Niedziela dnia 6. Sierpnia 1876 r. **Rok III.**

# TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: roczuie **17** złr. **60** cnt. półrocznie **8** złr. **80** cnt. kwartalnie **4** złr **40** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Wydawca i redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Biuro Administracji i Redakcji:
**Ulica Halicka l. 52.**

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
**J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **28** m. półrocznie **14** m. kwartalnie **7** m.
NA PROWINCJI:
Rocznie **34** m. półrocznie **17** m. kwartalnie **8** m. **50** f.

## LUŹNE UWAGI.

XXXI.

### Zjazd Towarzystwa pedagogicznego.

II. Drugim ważnym przedmiotem, który zajmował uwagę zjazdu, była sprawa szkół ludowych. Doświadczenie nauczyło, że ustawy o szkołach ludowych w r. 1872 uchwalone, są niedostateczne, i z wielu względów wadliwe. Grzeszą one przedewszystkiem tem, iż w rozkładzie ciężarów na utrzymanie i zakładanie szkół ludowych odstąpiły od zasady równości obowiązków, iż zbyt wielki wpływ na szkoły (np. prezentację nauczycieli!) przyznały samymże gminom, które po największej części nie mają jeszcze dość światła, ażeby zrozumieć ważność i potrzebę szkoły — że nareszcie nie przyznały nauczycielom takiego utrzymania, które by odpowiadało ich mozolnej pracy i wykształceniu jakiego **teraz** po nich wymagają. Skutkiem tego wszystkiego organizacja szkół ludowych idzie nadzwyczaj wolnym krokiem, brak nauczycieli coraz bardziej czuć się daje, a mała liczba kandydatów uczęszczających do seminarjów nauczycielskich każe się obawiać, że brakowi temu nie tak łatwo będzie można zapobiedz. Gdy zresztą z tym stopniem wykształcenia, do jakiego prowadzą seminarja nauczycielskie swych uczniów, bardzo łatwo w każdym innym zawodzie korzystniejszą znaleść posadę, przeto egzamin nauczycielski jest dla wielu kandydatów środkiem do uzyskania każdej innej, tylko nie nauczycielskiej posady, o którą się nawet nie starają.

Ażeby temu wszystkiemu zapobiedz, ułożył zarząd główny Towarzystwa pedagogicznego szereg zasadniczych postanowień, które mają tworzyć podstawę petycji do Sejmu o zmianę ustawodawstwa o szkołach ludowych. Według tych zasad, zakładanie szkół ludowych (tj. dostarczenie budynku i gruntów do szkoły potrzebnych) ma być obowiązkiem gminy i obszaru dworskiego w stosunku do opłacanych podatków — na pensje zaś nauczycieli i pokrycie innych naukowych potrzeb szkół ma być rozłożony nie jak dotąd w gminie, lecz w okręgu szkolnym osobny dodatek szkolny do podatków, na wszystkich mieszkańców okręgu. Dalej zawierają one zasadnicze punkta niektóre postanowienia, zmierzające do podniesienia bytu materjalnego nauczycieli szkół ludowych — między niemi podwyższenia najniższej płacy z 300 na 400 zł. Co do tego punktu na uwagę i uznanie zasługuje fakt następujący: Do wniosku tego uczynił ktoś poprawkę, ażeby prosić Sejm o podwyższenie płacy nie do 400 lecz do 600 zł. Wniosek ten, w pierwszej chwili bardzo żywemi przyjęty oklaskami, został jednak odrzucony przez zgromadzenie, które po największej części z samych ludowych nauczycieli się składa, skoro sprawozdawca Zarządu głównego przedstawił, że kraj nie byłby dzisiaj w stanie tyle opłacać, i zaapelował do patrjotyzmu zgromadzenia, ażeby nie żądało od kraju ofiar, które przewyższają jego siłę. Przekonaliśmy się wtedy, że takie odwołanie się nigdy bezskutecznem nie zostanie, skoro tutaj sami bezpośrednio interesowani w imię publicznego dobra wezwani, głosowali przeciw swemu własnemu interesowi. Za to umiarkowanie cześć wszelka należy się ludowym nauczycielom!

Oprócz tego było jeszcze na porządku dziennym kilka spraw pomniejszej wagi, których tu już nie poruszamy, chodzi nam bowiem tylko o podniesienie tego, co było najważniejsze, co zjazd tegoroczny od dawnych odróżnia. Taką sprawą była kwestja reorganizacji szkół średnich, którą się Towarzystwo pedagogiczne nigdy jeszcze w tym stopniu nie zajmowało, jak na tegorocznym zjeździe — tudzież owa bardzo wielkiej doniosłości sprawa organizacji szkół ludowych i polepszenia bytu nauczycieli, którą się nie zajmowano od czasu uchwalenia obowiązujących obecnie ustaw szkolnych.

Z tego krótkiego przeglądu czynności zjazdu widzimy, że Towarzystwo nie zbacza z drogi jaką sobie wytknęło, drogi nieustającej pracy nad wszystkiem, cokolwiek może się przyczynić do podniesienia wychowania publicznego w naszym kraju, w duchu prawdziwie narodowym, a zgodnym z postępem szkolnictwa ucywilizowanych narodów. Towarzystwo samo, jak ze sprawozdania zarządu głównego wnosić można, rozwija się pomyślnie, wzmaga się liczba członków, zgromadzenia i odczyty w oddziałach i kółkach pedagogicznych są coraz częstsze, wybór rozpraw przeważnie bardzo szczęśliwy. Jedno tylko ze swych zadań spełnia Towarzystwo — nie z własnej winy — w mierze o wiele mniejszej aniżeli życzyć by należało. Nie samym wpływem na organizację i pomyślny wewnętrzny rozwój szkół, nie samą pracą nad podniesieniem wykształcenia nauczycieli ma Towarzystwo pedagogiczne działać: winno ono obok tego być łącznikiem między szkołą a rodziną, których harmonja dopiero tworzy całość wychowania. Że Towarzystwo ten cel sobie założyło, dowodzi iż według statutu należyć mogą do Towarzystwa nie tylko nauczyciele, ale i każdy, kto tylko samym aktem przystąpienia dowodzi, że go sprawa szkół i oświaty żywo obchodzi. Zamieszczając takie postanowienie w statucie Towarzystwa, założyciele jego kierowali się zdrowem bardzo pojmowaniem stosunku szkoły do rodziny. Brak harmonji między temi dwiema instytucjami wychowawczemi, doprowadza do najsmutniejszych następstw. Dziecko poddane zupełnie innym wpływom w szkole a w domu, wychowywane przez rodziców z tak częstem u nas pobłażaniem aż do zaślepienia doprowadzonem, a trzymane w szkole w karbach surowej karności, albo też odwrotnie — dziecko, którego rodzice nie mając najmniejszego o sprawach i potrzebach szkoły wyobrażenia, paraliżują działanie nauczyciela: bardzo łatwo może się zupełnie zwichnąć, a im bardziej te dwa wpływy są sprzeczne, tem łatwiej stać się może, że się dziecko zupełnie zniechęci albo do domu albo do szkoły. Jedno i drugie równie zgubne.

Gdybyż ogół wykształcony chciał to zrozumieć, jak ważnem jest współdziałanie tych dwóch czynników wychowania, Towarzystwo pedagogiczne nastręczałoby wyborną sposobność do przywrócenia tej niezbędnej harmonji. Mniej by tu chodziło o udział wielu nie należących do stanu nauczycielskiego w dorocznych walnych zjazdach,

ale jak najliczniejszy ich udział w zebraniach oddziałów i kółek pedagogicznych, byłby nadzwyczaj pożądanym. Na tych zebraniach roztrząsają się liczne kwestje pedagogiczne i metodyczne — rodzice zatem mogliby tu nie jednę ważną znaleść wskazówkę do prowadzenia swych dzieci, a zapoznając się z wewnętrznym ustrojem szkoły i jej potrzebami, łatwiej by mogli wychowanie domowe tak urządzić, ażeby ono było pomocnem wychowaniu szkolnemu. Z drugiej znów strony byłaby dana sposobność zwrócenia uwagi nauczycielstwa na niejeden ważny szczegół, na niejeden może błąd przez szkołę popełniany, a wywołana w ten sposób dyskusja wyrównałaby wiele bardzo szkodliwych sprzeczności.

Dla tego kończymy sprawozdanie nasze tem gorącem wezwaniem każdego, kogo tylko sprawa szkół i oświaty obchodzi, ażeby przystępując do Towarzystwa umożliwił mu spełnianie tak ważnego zadania, jakiem jest przywrócenie niezbędnej między szkołą a rodziną harmonji.

---

# Pierwszy u mety.

NOWELLA.

## I.

Rok 1874; dzień 29ty czerwca, poniedziałek, śś. Piotra i Pawła; godzina czwarta i coś minut popołudniu.

We Lwowie panował niezwykły, więcej niżeli świąteczny ruch. Po ulicach uwijały się powozy rozmaitych kształtów i jeszcze rozmaitszej elegancji; karety o dystyngowanej powierzchowności, zaprzężone anglezowanemi końmi, z anglezowaną służbą na koźle i z własnemi lub pożyczonemi herbami na drzwiczkach, karykle i tz. *kutschir*-faetony na wysokich kołach, krótkie i wąskie, podobne z kształtów do dandysa na długich i chudych nogach, zaprzężone długiemi i chudemi rumakami, z długim i chudym *groomem* na tylnem siedzeniu; wózki węgierskie rezolutnej powierzchowności, z rezolutnym zaprzęgiem i rezolutnie powożone przez młodych szlachciców wiejskich (takich wózków i takich szlachciców bywa już teraz coraz mniej) — fjakry numerowane i nienumerowane, paro- i jednokonne, ciągnione przez suchotnicze szkapy — w końcu małe dryndulki żydowskie, podobne do skrzynek na śmiecie osadzonych na kołach, a wleczone przez jeden skielet koński. Wszystkie te karety, faetony, wózki, fjakry i dryndulki zdawały się zdążać w jednym wspólnym kierunku, ku jednemu wspólnemu celowi. Wyglądało to na małą, zaimprowizowaną na prędce wędrówkę ludów. Niewtajemniczonemu w przyczynę tej zbiorowej emigracji, mogło się zdawać, że mieszkańcy Lwowa sprzykrzywszy sobie wreszcie swoją dotychczasową siedzibę, postanowili tego pięknego popołudnia zostawić ją na pastwę radzie miejskiej, żydom i dziennikarzom, a sami oglądnąć się za jaką inną wygodniejszą... Przypuszczenie to mogło było uzyskać na prawdopodobieństwie u tego, ktoby się był pilnie wpatrywał w twarze ludzi, podejmujących tę domniemywaną wędrówkę. Malowała się na nich jakaś uroczysta powaga, spowodowana jakby przeczuciem ważności powziętego postanowienia i przeświadczeniem o jego doniosłości, jakaś stanowczość wyrazu towarzysząca każdej niezłomnej decyzji, przebijało się w nich jakby oczekiwanie czegoś ważnego a nieprzewidzianego, czegoś, co rozstrzygnie o losie jeśli nie całego świata, to przynajmniej większej jego części.

Na czele długiego szeregu pojazdów, w kilku wyż opisanych wysoko - kolistych faetonach, pędzili jegomościowie, z których jeden w każdym karyklu sprawował obowiązek furmana. W ich twarzach szczególnie przebijał nastrój uroczysty, jakieś zamyślenie i frasunek, jakgdyby na głowach ich spoczywała troska o te wszystkie jadące za nimi powozy, konie i ludzi.

Na piersiach miał każdy okrągłą kartonową odznakę przywiązaną kolorowa wstążeczką do dziurki od surduta. To zapewne kwatermistrze, których lud wysłał naprzód, ażeby wyszukali dlań nową wygodną siedzibę... Biada im jeśli nie wywiążą się należycie z włożonego na nich posłannictwa!... Myśl ta zapewne musiała na twarzach ich wycisnąć ten wyraz frasobliwej powagi, uroczystej determinacji, i zarazam dumnego przeświadczenia, z jakiem od czasu do czasu, z po za szkiełka wciśniętego gwałtownie w jamę oczną, rzucali przenikliwe spojrzenie na ciągnący po obu stronach ulicy tłum rozmaitego pospólstwa. Była to druga połowa ludności, odbywająca wędrówkę pieszo.

Wśród tej rzeszy piechotników znalazłby był bystry psycholog pole do najciekawszych spostrzeżeń, nieraz powtarzanych, a jednak zawsze nowych i zajmujących. Amator zaś nowin i plotek żniwo daleko jeszcze obfitsze. Tu można było podglądnąć i podsłuchać rozmaite uczucia, namiętności, instynkta, zdania, uwagi, i spostrzeżenia; tu można było zaczerpnąć także wiele wiadomości lokalnych. Jedni patrzali z uwielbieniem i zazdrością na szczęśliwych właścicieli koni i powozów i chlubili się swemi wiadomościami ze sfery *high-life'u*, inni opowiadali sobie z miną, z jaką się mówi o niezachwianych pewnikach, drażliwe anegdotki o domowych, rodzinnych lub finansowych stosunkach pań i panów z tego świata ekwipażowego; inni dopuszczali się nawet wprost rozmaitych uwag satyrycznych kosztem tej lub owej osobistości — ot, jak to bywa w takich razach i w wielu podobnych. Trudno brać za złe człowiekowi idącemu pieszo, jeżeli drwi z człowieka, który jedzie własnym lub bodaj najętym powozem — wszak to jedyna pociecha, którą osładza sobie swój własny opłakany los!

A godnym zaiste opłakania był tego dnia los śmiertelników, którym fortuna poskąpiła marnych kilka guldenów, aby mogli za nie nająć sobie ową machinę brudną i trzęsącą na czterech kołach, przyczepioną do końskiego skieletu, zwaną eufemistycznie dorożką, a w ludowem narzeczu *einspannerem*, i którzy z tego powodu skazani byli na odbywanie pieszej wędrówki! Był to dzień pogodny, nawet skwarny, ale straszliwie wietrzny. Słońce z największem natężeniem wpatrywało się w ziemię, jakgdyby bało się uronić najmniejszego szczegółu tego wspaniałego widoku, jaki się roztaczał pod jego okiem, ale zazdrośna ziemia co chwila sypała mu piaskiem w oczy i oślepiała je gęstemi tumanami kurzu. Cała przyroda zdawała się jakby rozgorączkowaną oczekiwaniem wielkiego jakiego zdarzenia, i objawiała usposobienie spazmatyczne. Niedarmo to twierdzi mądrość ludowa, że w podobny dzień musi się ktoś obwiesić. Dzień taki jest wiernym obrazem szczęśliwego małżeństwa: słońce szczęścia małżeńskiego przypieka uporczywie, a w oczy dmie wiatr.

Powozy i konie pokryte gęstą warstwą pyłu, tłumy ludu popielate od kurzu —wszystko to wyglądało jak jaka karawana, powracająca z Sahary, którą po drodze napadł Samum. Te powozy, te konie, te tłumy ludzi, wszystko to zdążało ku rogatce Janowskiej.

Trudno już bowiem ukrywać przed zaniepokojonym czytelnikiem, że nie chodziło tu o żadną wędrówkę ludów, ani o żadną emigrację *en masse* mieszkańców Lwowa, lecz że był to po prostu dzień wyścigów konnych, dzień, w którym co roku ciekawsza połowa miasta wylęga na błonia Janowskie, ażeby dowiedzieć się, kto też w tym roku zabierze wszystkie nagrody, p. Ochocki czy hr. Tarnowski, i przekonać się, że oprócz p. Tuczyńskiego i hr. Pinińskiego, reszta „rycerskiej“ naszej młodzieży, zawsze jeszcze umie tylko gadać o koniach i udawać że się na nich rozumie, ale co jeździć—to nie!

W szeregu pojazdów posuwających się za sobą gęsiorem, toczył się węgierski wózek kawalerski, zaprzężony parą żwawych skrokatych „jukerów.“ Wózek ten miał tylko jedno szeroko wyścielone siedzenie w samym środku. Na siedzeniu tem, z twarzą obróconą do koni siedziało dwóch mężczyzn, z których jeden powoził. Plecami zaś do nich siedział chłopak w stajennej liberji, który zdawał się na dnie serca żywić szczególniejszą antypatję do fjakrów, każdego z nich bowiem po drodze mierzył wzrokiem pełnym głębokiej pogardy, tudzież poczucia własnej wyższości, przyczem miał minę taką, jak gdyby chciał dać do poznania, że o każdym z nich posiada swoje własne wyrobione przekonanie, któremu tylko z chwilowych wyższych względów wstrzymuje się użyczyć namacalnego wyrazu.

Mężczyźni siedzący obok siebie na przedzie, byli obaj w równym mniej więce wieku, między trzydziestym piątym a czterdziestym rokiem życia. Jest to, jak powiadają, ostatni czas, w którym mężczyzna może się ożenić, nie będąc śmiesznym, ani przed ślubem, ani (co daleko ważniejsze) po ślubie. Jeden z nich był jasny blondyn, z jasnemi blond bokobrodami, z jasnemi niebieskiemi oczyma, patrzącemi bystro i żywo dokoła, ruchy miał żwawe i energiczne i mówił szybko. Drugi, ten właśnie który powozil, był brunetem o smagławej cerze, dość ostrych konturach twarzy, z ciemnemi spokojnie patrzącemi oczyma, z cienkim wysmukłym z tatarska wąsem — ruchy miał spokojne i mówił powoli, tonem jednostajnie melancholicznym, od czasu do czasu tylko zjawił się na jego ustach uśmiech nawpół dobroduszny, na wpół znaczący, na wpół smętny.

— Mój Jędrusiu, jesteś mazgaj w całem znaczeniu tego słowa — mówił blondyn do bruneta, giestykulując żywo jedną ręką, — jesteś mazgaj do niczego, i nie ożenisz się nigdy...

Brunet na te słowa zamyślił się głęboko, po chwili obracając się flegmatycznie do siedzącego z tyłu chłopaka zapytał:

— Fediu, wziąłeś z domu obrok dla koni?

— A jakże proszę jaśnie pana — odparł Fedio.

— Widzisz mój Stefciu — odezwał się znów po chwili, uśmiechając się dobrodusznie Jędruś — kiedyż bo to nie tak łatwo się ożenić.

— Nie łatwo... nie łatwo? wielka mi sztuka! jeszcze dla ciebie, co mieszkasz milę od Lwowa! To się po prostu robi tak: wyjeżdża się na karnawał, poznaje się pannę, dowiaduje się jaki jest jej stan czynny: to jest wiele ma posagu, potem o stan bierny: to jest o papę, mamę, rodzeństwo, wujciów stryjciów i ciocie, jeśli rachunek wypadnie dobrze, zakochuje się — potem się oświadcza, chcesz mnie pani dobrze, nie chcesz: to bywaj zdrowa — i na tem koniec!

— Zapewne że na tem koniec — odparł uśmiechając się p. Jędrzej—i to jeszcze bardzo szczęśliwy koniec.

— E... e... mój Jędrusiu, nie udawaj bajronistę! Nie przymawiając ci masz już lat trzydzieści siedm, więc ostatni dla ciebie czas żenić się. Nie wypieraj się, wiem, że masz nawet ochotę, tylko po prostu przyznaj że nie wiesz, jak się wziąć do tego, jesteś mazgaj nieporadny, niepraktyczny marzyciel, niedołężny fantasta...

P. Jędrzej westchnął.

— Fediu, — odezwał się po chwili melancholicznie, obracając się do chłopaka, kupiłeś smarowidło do wozów?

— A jakże, proszę jaśnie pana—odpowiedział Fedio.

— Mój Stefciu — rzekł znowu po chwili p. Jędrzej — może i masz słuszność zarzucając mi, że jestem marzycielem, fantastą, bajronistą, trudno... już się nie odmienię — tu westchnął. — Ale ty, ty, mój drogi gadasz tak jakbyś sam już dwanaścioro dzieci wychował.

— Ba, co do mnie, to rzecz całkiem inna! Ja należę do ludzi, którzy się nie żenią nigdy i żenić się nie powinni.

Pan Stefan miał słuszność. Sądząc po minie jego i usposobieniu zdawał się on istotnie należyć do ludzi, którzy kochają się ustawicznie, żenią się dlatego rzadko, a jeśli się przypadkiem ożenią, to niezawodnie siedzą pod pantoflem. Tacy nie powinni się żenić nigdy.

Jędruś jednak zdaje się nie rozumiał tego, bo po chwili zapytał:

— A dla czegoż byś się nie miał ożenić?

— Dlaczego? bo to głupstwo.

— Więc mnie dla tego namawiasz? — Chciałbyś się utwierdzić w swojem przekonaniu kosztem mojego doświadczenia... Chcesz zrobić na mnie eksperyment jak: *in anima vili?*...

— Mój Jędrusiu — przerwał pan Stefan z ferworem, — gdybyś nie był takim marzycielem zatwardziałym, takim krótkowidzącym fantastą, to byś wiedział, że jedna rzecz niepodobna nigdy do drugiej, ani jeden człowiek do drugiego. Co u jednego jest głupstwem, to u drugiego może być rozumnem. Tobie, niepraktycznemu mazgajowi, potrzeba żony, któraby cię krótko trzymała, i dzieci, któreby ci wrzeszczały nad uszami, bo to by cię ze sfery twoich marzeń, z krainy niebieskich migdałów, strąciło na ziemię, na grunt pozytywnej rzeczywistości, dlatego radzę ci żeń się! Co do mnie, rzecz ma się inaczej. Człowiekowi pozytywnemu, jak ja, mającemu na oku tylko cele praktyczne, żony nie potrzeba; dla człowieka takiego żona może się stać nawet zawadą, przeszkodą w realnem działaniu. Mając przedewszystkiem zamiar podnieść gospodarstwo rolne, postawić je na stopie postępowej, muszę ciągle siedzieć za granicą, więc nie mam czasu się starać. Zresztą znam moje błędy, wiem że jestem usposobienia despotycznego, nieugiętego, że nie potrafiłbym może zastosować się do cudzych wymagań, przywar, kaprysów — boję się, że byłbym w domu tyranem, że unieszczęśliwiłbym moją żonę, a jako egoista, nie mogę znieść, ażeby ktoś w mojem najbliższem otoczeniu udawał nieszczęśliwego, albo co gorsza był istotnie nieszczęśliwym... Toby mnie irytowało i niecierpliwiło... Wreszcie, mój kochany, pozbyłem się już illuzyj młodzieńczych, w miłość bezinteresowną dzisiejszych kobiet nie wierzę i sam bezinteresownie zakochać bym się nie potrafił.

Tu przerwał p. Stefan nagle potok swej wymowy i wlepiwszy oczy przez kilka sekund w jakiś przedmiot, położony po lewej stronie ulicy, zawołał:

— To ona — słowo daję, ona!

— Co? jaka ona? — zapytał pan Jędrzej obracając flegmatycznie głowę.

Po tej stronie, w którą panowie Stefan i Jędrzej zwrócili swe oczy, stała kamieniczka biała, jednopiętrowa, wcale schludna, z małym ogródkiem w tyle. Na pierwszem piętrze było otwartych kilka okien z białemi muślinowemi firankami; na oknach stały doniczki z rezedą, geranium i centyfolją. W jednem z okien, z między wazonków wychylało się rumiane, okrągłe oblicze nie młodej już osoby płci żeńskiej, dobrej tuszy, w czepcu z czerwonemi wstążkami. Tuż obok zaś biała główka dziewczęca z różyczką w jasnych włosach, i dwoje oczek żywych i figlarnych strzelających z za gałązek geranium.

— Cóż to za ona? — powtórzył jeszcze raz flegmatycznie pan Jędrzej.

Pan Stefan wpatrywał się dalej i milczał.

W tym momencie biała główka z różyczką i dwojgiem błyszczących oczek, snać spostrzegłszy, że jest przedmiotem natarczywych spojrzeń męskich, cofnęła się za bastjony z geranium i rezedy, a w chwilę później poszło w ślad za nią okrągłe oblicze matrony w czepcu.

— Jakto? nie wspominałem ci nic o tem? — zapytał odwracając wzrok od okna pan Stefan.

— Dotychczas ani słowa.

— To moja nieznajoma z wyścigów.

— Oho! to coś niby jak w romansie.

— Romansów nie czytam i nie lubię. Ale ta historja mnie bawi. Od trzech lat już bywam we Lwowie na wyścigach, i co roku, w tej samej kamienicy, w tem samem oknie, widuję tę samą jejmość grubą w czepcu, a przy niej młodziutką dziewczynkę. Dziewczynka, gdym ją pierwszy raz zobaczył, mogła mieć lat czternaście lub najwyżej piętnaście — ztąd się okazuje, że teraz ma siedmnaście lub ośmnaście, jasna blondyneczka — z włosami jak len, z dużemi ciemnemi oczkami, wcale, wcale niczego. Zauważyła mnie widocznie. Przez dwa lata pierwsze patrzała na mnie ciekawie swemi dużemi ciemnemi oczkami i nie płoszyła się wcale. W zeszłym roku ujrzawszy mnie zarumieniła się lekko — a teraz, widziałeś, uciekła... Jak te dziewczęta szybko podrastają! Ciekawe to dziewczątko a przystojna, wcale przystojna!...

* * *

(C. d. n.)

# WYCIECZKI

## na współczesny Parnas Francuski

przez

J. S. Chamca.

### II.

### GEORGE SAND.

*(Dokończenie).*

Ostatnim psychologicznym portretem mężczyzny i kobiety, zakończymy ten rząd długich a tak nieuniknionych wyciągów. Portret mężczyzny: *Horace.*

„C'etait un mélange d'affectation et de naturel si délicatement unis, que l'on ne pouvait plus distinguer l'un de l'autre, ainsi qu'il arrive dans la préparation de certains mets, ou de certaines essences ou le gout ni l'odorat ne peuvent plus reconnaitre les élements primitifs. J'ai vu des gens à qui dés l'abord, Horace déplaisait souverainement, et qui le tenaient pour prétentieux et boursouflé au supréme degré. J'en ai vu d'autres qui s'engouaient de lui sur-le-champs, et n'en voulaient plus démordre, soutenant qu'il était d'une candeur et d'un laisser aller sans exemple. Je puis vous affirmer, que les uns et les autres se trompaient, ou plutôt qu'ils avaient raison de part et d'autre. Horace était „affecté naturellement." Est ce que vous ne connaissez pas des gens ainsi faits, qui sont venus au monde avec un caractére et des manierés d'emprunt et qui semblent jouer un rôle, tout en jouant sérieusement le drame de leur propre vie? Ce sont des gens qui se copient eux-mêmes. Esprits ardents et portés par nature à l'amour des grandes choses, que leur milieu soit prosaique, leur élan n'en est pas moins romanesque; que leurs facultés d'execution soient borneés, leurs conceptions n'en sont pas moins démesurées: aussi se drapent-ils perpétuellement avec le manteau du personnage, qu'ils ont dans l'imagination. Ce personnage est bien l'homme même, puisqu'il est son rêve, sa création, son mobile intérieur. L'homme réel marche a côté de l'homme idéal; et comme nous voyons deux représentations de nous mêmes, dans une glace fendue par milieu, nous distinguons dans cet homme dédoublé pour ainsi dire deux images qui ne sau-

raient se détacher, mais qui sont pourtant bien distinctes l'une de l'autre. C'est-ce que nous entendons par le mot seconde nature qui est devenu synonime d'habitude. Horace était ainsi."

Portret kobiety: *Indiana.*

„Indiana était la victime de sa propre fierté. Rien n'était plus facile que d'attendrir son coeur et de dominer son caractère, quand on voulait descendre à son niveau et entrer dans le cercle d'idées qui étaient à la portée de son esprit. Mais Indiana était roide et hautaine dans sa soumission, elle obéissait toujours en silence, mais c'était le silence et la soumission de l'esclave, qui s'est fait une vertu de la haine et un mérite de l'infortune. Sa résignation, c'était la dignité d'un roi qui accepte, des fers et un cachot, plutôt que d'abdiquez sa couronne et de se dépouiller d'un vain titre. Une femme de l'espéce commune eut dominé son mari (homme d'une trempe vulgaire); elle eut dit, comme lui et se fut réserve le plaisir de penser autrement; elle eut feint de respecter ses préjugés et elle les eut foulés aux pieds en secret. Indiana voyait beaucoup de femmes agir ainsi; mais elle se sentait si au dessus d'elles qu'elle eut rougi de les immiter. Vertueuse et chaste elle se croyait dispensée de flatter son maitre en paroles pourvu qu'elle le respectât dans ses actions. Elle ne voulait point de sa tendresse parce qu'elle n'y pourait pas répondre. Elle se fut regardée comme bien plus coupable de témoigner de l'amour à ce mari qu'elle n'aimait pas, que d'en accorder à un amant qui lui en ispirerait. Tromper c'était là le crime à ses yeux."

Portret mężczyzny udatniejszy. Obserwacja dwóch natur w jednej osobie, wrodzonej i przybranej, lub raczej narzuconej jej przez zewnętrzne wpływy i okoliczności, jest trafna i oryginalna. Nie wiem jak komu, lecz nam zdarzało się spotykać typy w tym rodzaju, niby aktorów z urodzenia, przybierających role zupełnie charakterowi ich niewłaściwe, a przybierających je nie dla interesu, nie w tym lub owym celu, lecz bezwiednie, nie zdając sobie z tego sprawy, jakby ulegając oddziaływaniu otoczenia, w którem im żyć było przeznaczono. Widzieliśmy naprzykład ludzi udających wady zupełnie wstrętne istotnym ich usposobieniom, i przekonanych, że takowym ulegają; psujących sobie dobrą opinję w umyśle niektórych osób, żałośnem utyskiwaniem nad mniemaną szkaradą serc swoich. Widzieliśmy fanfaronów zepsucia, niewiary, egoizmu, nawet okrucieństwa, i dla tego zacytowany portret jednego z bohaterów Georges Sand uderzył nas jako trafne i treściwe odwzorowanie fenomenu istniejącego w społeczeństwie.

Co się tyczy portretu kobiety, ten ani na pół cala nie wychyla się ze zwykłej foremki, przyjętej przez Georges Sand. Kobiece typy wszystkich jej powieści siostrzanem do siebie uderzają podobieństwem. Kobieta u niej czy ją nazwie Lelią czy Indianą, Luczezją Floriani czy Daniellą, to jedna i ta sama marzycielka, zbuntowana przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy, niezdolna nagiąć się do przepisanych jej przez naturę obowiązków, pragnąca Bóg wie czego, bardzo kapryśna, bardzo nerwowa i bardzo namiętna. Pod względem moralnym, prędzej niż pod fizycznym, powiedziećby można, iż Georges Sand malując swoje bohaterki, sama sobie wieczystym służy modelem. Czując potrzebę wytłumaczenia się przed światem z niektórych niekonsekwencyj swego żywota, niezdolna przyznać się do nich otwarcie, przypisuje je z kolei różnym kreacjom swojej fantazji i w usta tych ostatnich własną wkłada obronę.

Taktyka to nie nowa i każdy ją łatwo zrozumie. Wynikiem jej naturalnym jest bez porównania większe urozmaicenie, większe bogactwo typów męskich niż niewieścich. Malując pierwsze, Georges Sand jest czasem nawet bardzo uzdolnioną — artystką; malując drugie jest tylko mniej lub więcej wymownym adwokatem, lecz broniącym zawsze złej i z góry przegranej sprawy. Na pierwsze spogląda bez uprzedzeń, okiem rozwagi, z wrodzonym instynktem obserwacji; na drugie patrzy przez szkiełka miłości własnej, przygotowanych z góry opinij, przesądów, i obarczonego wyrzutami sumienia. Ztąd olbrzymia różnica.

Otośmy już prawie u celu.

Pochlebiamy sobie, że praca nasza, pomimo szczupłych swych rozmiarów, potrafiła w umyśle czytelników, o traktowanym przedmiocie możliwie dokładne stworzyć, lub odświeżyć pojęcie. Daliśmy w niej: ogólny pogląd na talent Georges Sand, streszczony zarys literackiej jej działalności, i leciuchną charakteru jej sylwetkę. Nie pozostaje nam zatem nic więcej jak do ostatecznych przejść konkluzyj.

Doniosłe w literaturze współczesnej zająwszy stanowisko; po Balzaku a może i obok niego, nową we Francji powieściopisarstwa stworzywszy szkołę, Georges Sand z całym olbrzymim trudów swych plonem, stoi teraz przed areopagiem potomności. Czy ten jej „nieśmiertelność" w ostatecznym przysądzi wyroku?

Na to pytanie ośmielamy się po bardzo długim namyśle odpowiedzieć: „Tak!" i „Nie."

„Tak!" może pod względem formy, która wątpimy, by pod czyjemkolwiek piórem do większej doszła doskonałości. „Nie" pod względem pomysłów i kreacji, które nigdzie nie są w zupełnie strojną ułożone całość.

Dante jednę tylko „Boską komedję" — Malczewski jednę „Marję" — Cerwantes jednego stworzył „Don-Kiszota" — a pamięć ich żyje i żyć będzie.

Wieluż to autorów, którzy setki napisali tomów, w każdym z nich pewną dozę podniosłego nawet czasem składając talentu, już przyszłe nie będzie znać pokolenie? Potomności nie „dzieł" trzeba, lecz „arcydzieła." A takiego nie masz w całej literackiej Georges Sand spuściźnie!

* * *

Jak przy artykule poświęconym Dumas'owi wzmiankę o jego siostrze, tak tu przy artykule o Georges Sand, syna jej umieścimy wspomnienie.

Maurycy Dudevant, na utworach swych podpisujący się bardziej słynnem nazwiskiem „Sand", urodził się w 1825 roku, ale nie wcześniej jak dopiero w 1859 roku literacką rozpoczął karjerę. Mamy jego „Masques et bouffons" rodzaj ludowych satyr i komedyj imitowanych z włoskiego. „Six mille lieues à toute vapeur" „Le coq aux cheveux d'or," „Callirhoë," opowiadania fantastyczne. „Miss Mary," „Raoul de la Chastre" romanse, „Le monde des papillons" gawędy popularno-naukowe. Dla sceny kolaborował z matką w układzie dwóch sztuk „Don Juan de village" i „Le lys de Japon," które jak wiadomo żadnego nie miały powodzenia. Dość przytem znany jako malarz i rysownik. Uczniem był Eugenjusza Delacroix. Ilustrował prawie wszystkie utwory swej matki i na dorocznych wystawach Sztuk pięknych przez kilka lat z rzędu w 1857, 59, 61 latach z różnemi zjawiał się produkcjami. Talent jego literacki, trudnemi do zrównania talentu matki przygniatany wspomnieniami, miernym tylko cieszy się rozgłosem i nie bez racji, mówiąc między nami.

Każda pod słońcem literatura kopami takich liczy pisarzy. Nie ma racji, żeby ich nie było więcej; tak pisać potrafi każdy, każdy obeznany z językiem, mający uncję dowcipu, dwie wyobraźni, i trzy roztargnienia. Nie masz tam ani bijących w oczy absurdów, ani wielkich piękności. Dużo słów, dużo białego papieru i dziesiątek tomów w rezultacie. Wyjątek stanowi może jedna „Callirhoe" bardzo zgrabnie i nawet nie bez pewnej poezji napisana fantastyczna historja posągu młodej dziewicy, ożywającego pod tchnieniem miłości. Niczego obrazek, ale w nim tak widoczne ślady matczynej pracy, iż Bogiem a prawdą słuszniej by było zapisać go w rzędzie jej własnych utworów.

Lecz z drugiej strony bogata matka może jeden kwiatek ze świetnej swej girlandy ubogiemu ustąpić synowi, którego ołówek z talentem na jaki go stało, ilustrował jej utwory. Nie przeszkadzajmy im więc w tej przykładnej czułości i usług wymianie.

P. S.

Nie bez racji składaliśmy z góry przeprosiny za możliwe zapomnienia.

Oto list nasz jeszcze nie wysłany, a opuszczone utwory Georges Sand przychodzą nam na pamięć całym tłumem. Korzystamy z czasu, by je tutaj jeszcze zanotować przy ogólnym zbiorze.

Romanse naprzód: „Gabriel" (zadedykowany rodakowi naszemu Albertowi Grzymale) „Rélation d'un voyage chez les sauvages de Paris," „Cora," „Melchior," „Monsieur Rousset," „Kourroglou Epopeé Persane," „Georges de Guérin" i „Le poeme de Myrza." Sztuki dramatyczne: „Les Mississipiens" (nigdy nieprzedstawiana) i „L' Autre" duży 4 aktowy dramat w Odeonie odegrany w 1869 roku, i ze względu na pewne powodzenie odrębnej domagający się wzmianki.

Napisany ze wszystkiemi przywarami właściwemi talentowi Georges Sand, a zatem żadnej scenicznej niemający wartości, czemu swe względne przypisać może powodzenie? Skandalowi! „Tamten" (l' Autre) to ulubiony, zgadniecie łatwo, to wróg „tego" (Celui) alias „męża," to „złe," które moralność potępia, towarzystwo toleruje a Georges Sand zaledwie że nie „dobrem" przedstawia nam na scenie. Poetyzując zdradę małżeńską w przeciągu trzech śmiertelnie nudnych aktów, absolwując ją uroczyście w akcie ostatnim, Georges Sand w sali teatralnej, przepełnionej kwiatem ówczesnej cesarskiej arystokracji, bardzo czułe wywołała echo, i przekonać się była w stanie, że głos jej od lat tylu wywołujący krucjatę przeciwko przemocy mężczyzn i „rodzinnym obowiązkom" nie był „głosem wołającego na puszczy!"

Do prędkiego zobaczyska

*J. S. Chamiec.*

Paryż d. 10. października 1875.

# Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

Czesław Pieniążek.

*(Dokończenie).*

XII.

*(Epigony).*

W jednym z poprzedzających rozdziałów, gdy była mowa o powstaniu 1830 r. poświęciliśmy kilka uwag stosunkom literacko-politycznym u nas. Kończąc rzecz naszą o messjanizmie, powołujemy się na to, co się wyżej powiedziało, bo jak na wypadki 1830 r. wpłynęła młoda literatura romantyczną zwana, a powstanie listopadowe messjaniczną rozwinęło poezję — tak w dalszym ciągu czasu, ta poezja messjaniczna na losy nasze ogromnie oddziaływała.

Apoteozowanie Polski, podnoszenie cierpień narodowych do wysokosci męczeństwa Chrystusowego, a nadawanie im doniosłości tak wielkiej dla człowieczeństwa, jaką miał krzyż na Golgocie, obok ogromnych pożytków dla sprawy polskiej, wyrządziło jej szkody nie małe.

W chwili rozbicia, w chwili upadłych nadziei, gdy zdawało się, że narodowość, już na zagładę przeznaczona, nie ochroni się pod naciskiem przemocy, jakże łatwo było popaść w zwątpienie, pozbyć się wiary w przyszłość, złamać się i dobrowolnie, pójść w służbę duchową u obcych, jak przed wiekami Czechy po bitwie na Białej górze. Messjanizm filozoficzny i poezja wieszcza messjaniczna, broniły nas od samobójstwa, dodały otuchy, podniosły ducha, wstrzymywały godność narodową od poniżenia się — a co najwięcej: ukajały rozpacz. Gdziekolwiek rozum się zwracał, wszędzie kiry były dla nas żałobne, trumny przez nieprzyjaciół ciosane i wieńce grobowe, przyjacielską dostarczane dłonią. Rozum czytał śmierć i zagładę, pisane na całej przestrzeni od Warty po Dźwinę, od Karpat po brzegi Bałtyku. Gabinety europejskie gotowe były przydzwaniać pogrzebowi — narody byłyby śród łez i głośnych żalów, pieśń żałobną zaśpiewały, a naród polski byłby może na długo w śmierć swoją uwierzył, gdyby nie poezja wieszcza od śpiewów wojennych 1830 począwszy — od Pieśni Janusza, od proroctwa kapłana Polskiego, do Przedświtu. Ona uczyła patrzeć w przyszłość oczyma w i a r y, oczyma s e r c a i kłam zadawała matematycznym formułkom r o z u m u. I że nie ginęliśmy w rozpaczy, żeśmy samowiednie nie karłowacieli — to było zasługą tego messjanizmu, to było pożytkiem spływającym zeń na sprawę narodową. Gdy wszystko głosiło śmierć i pogrzeb, poezja wieszcza mówiła: *Dzieweczka nie umarła, lecz śpi.*

Ale też równocześnie uczyliśmy się zarozumiałości. Z tej poezji messjanicznej, wieszczej, nie braliśmy świadomości siebie samych, poczucia się w istnieniu, które bez naszej woli przepaść nie może, nie braliśmy wiary w przyszłość, którą nam samym budować należy wytężoną pracą organiczną — ale czytaliśmy w niej to, co słabości pochlebiało, czerpaliśmy ztamtąd przecenianie i przeszłości i dzisiejszych usiłowań. Nawet błędy, które nas gubiły, niedostatki wszelkie moralne, polityczne i społeczne, wydawały nam się świętością relikwi, a usunięcie ich świętokradztwem. Wytworzyła się wiara dziwna, a wygodna, że siły zewnętrzne bez naszego przyczynienia się, zbudują nam przyszłość. Założyliśmy ręce do snu i lenistwa. Gabinety europejskie wydawały nam się kuźniami naszego szczęścia, przeznaczone do tego przez Opatrzność. Messjaniści, filozofowie i towiańczycy wskazywali nam zbawcę w Napoleonie III, i patrzyliśmy na Paryż bezustannie, licząc uderzenie godzin — rychło orły cesarskie z nad Sekwany w tryumfalnym pochodzie pod Moskwę zalecą. Potem znowu kazano upatrywać zbawienie w nowym cesarzu rossyjskim, to znowu w arcyksięciu Maksymiljanie. Wszędzie i zawsze wskazywano osoby, które messjanicznym sposobem, sprawiedliwość Polsce wymierzyć — były powołane. Wiązaliśmy sprawę naszą z osobami i polityką zagraniczną. Lada wojna, lada mowa dyplomatyczna, plotki salonów ministerjalnych, wszystko to rosło w oczach naszych do rozmiarów ogromnego znaczenia. Zamieniliśmy istotnie królewską Polski purpurę na płaszcz żebraczy — i potomkowie rycerzy, płakaliśmy po przedpokojach dyplomatów, żebrząc litości. A sprawy narodu leżały odłogiem i nic się w kraju nie robiło, chociaż niesłychanie wiele robić było trzeba, a bardzo wiele robić było wolno. Były długie lata złudzeń, wyczekiwań i ospałości. Powiedzieliśmy sobie, że jesteśmy wybrańcami Opatrzności pośród narodów i wierzyliśmy w to Benjamińistwo, jak skapryszone dziecko — i jak takie nie chcieliśmy się uczyć i pracować.

Nastąpiła stagnacja i cofanie się w stecz — gdy koło nas narody rwały się drogą postępu coraz prędzej, coraz dalej! Konserwatyzm bezwzględny, jakieś judaiczne odosobnienie, i prawdziwie chińska martwota a zarozumiałość, opanowały nas najzupełniej. Zdało nam się, że zasługi w przeszłości dla Europy złożone wystarczą nam na życie całe. Echo tryumfu moralnego po r. 1830 brzmiało nam w uszach i sądziliśmy, że to nas upoważnia na zawsze ten tryumf zachować. Nie widzieliśmy nic wielkiego u innych narodów, nie chcieliśmy tam nic widzieć — a uparcie staliśmy przy tem, czem byliśmy i czem jesteśmy. Gdyśmy się w niedawnych czasach niejako ze snu otrzęśli, dziwią nas postępy innych narodów, nie możemy ich pojąć, zrozumieć, i zagadką nam się wydaje, że poszły pomiędzy niemi w zapomnienie pieśni, na cześć naszą dawniej śpiewane.

Młodsza generacja z natury swej żywa, bo młoda, gorąca, bo tłumiona, na swój sposób tłumaczyła sobie messjanizm poetyczny. Przemycanym sposobem rozchodziły się książki z Paryża. Wyrywano sobie z rąk Dziady, Pieśni Janusza, Przedświt — uczono się ich na pamięć czczono je jak modlitwę. Młodzież z natury swej ufna w swe siły, mierząca wszystko skalą zapału i pragnień, umacniała się we wierze w swe siły, potężną pieśnią poezji wieszczej — i jak przed rokiem 1830 „Oda do młodości“ była „rewolucją w teorji“ — tak teraz „Z dymem pożarów“, „Boże coś Polskę“ — stały się hasłem uczuć i myśli. Wierzono w proroctwo kapłana Polskiego, modlono się litanją z Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego, Przedświt brano sobie za ewangelję.

Kto tylko dobrze poszuka w pamięci, przypomni sobie jak dziwnie spowijały się serca i umysły tą poezją Pola, Krasińskiego, Mickiewicza, Ujejskiego, Słowackiego. Im mniej rozumiano, tem więcej znajdowano uroku we wszystkiem. Te nocy spędzone nad przepisywaniem wojennych pieśni 1830 r. przemarzone nad Przedświtem, Psalmami przyszłości, Resurecturis itd. to pragnienie męczeństwa i rozpięcia się na krzyżu, pod wpływem poezji messjanicznej, rozwijające się w sercach coraz silniej, coraz potężniej — wszystko to połączone z położeniem kraju politycznem, ze stosunkami zewnętrznemi, pociągnąć musiało do świątyń Pańskich, do głośnej modlitwy, jak psalmy męczenników na cyrkach rzymskich. A gdy się krew z bezbronnych piersi polała, nie upadła wiara, ale głośniejszą była modlitwa i silniejsze męczeństwa pragnienie. Toż nie dziw, że powtórzono: „Zagińcie pieśni, wstańcie czyny moje“ — i nie dziw, że zawołano: Z kijami na bagnety, z bagnetami na armaty!

Była to piękna w polityce naszej poezja, ale pełna grozy tragicznej!

W maju 1863 r. odezwał się w sprawie powstania Towiański*). Głos ten starca-tułacza, na większą zasługuje uwagę, niż wszystko, co kiedykolwiek poprzód wypowiedział, a to z tego powodu, że jest tam fantazja wprawdzie poetycka, zamiast trzeźwego na rzeczy poglądu, ale łączy się z nią wyraz miłości ojczyzny. Głos ten pełen mglistych ogólników i frazesów ładnie brzmiących częstokroć, jednak nie wyrażających żadnej myśli wyraźnie sformułowanej — jest zarazem jakoby rehabilitacją towiańszczyzny, jakoby oczyszczeniem się z owego serwilistycznego adresu z r. 1857.

Jest tu już mowa o „grzechach rządu rossyjskiego“, chociaż o wiele więcej grzechów przyznaje mistrz Polsce, a niemal za najważniejszy to jej poczytuje, że nie przyjęła jego nauk.

„Gdy rodacy nasi ofiarują dla ojczyzny ziemskiej z tak wielkiem poświęceniem majątek i życie, nie ofiarują oni dla Boga i dla Ojczyzny chrześćjańskiej ducha swojego; n i e  c h c ą na przykład z m i ę k c z y ć  s i ę  i  z g i ą ć  w e w n ą t r z  d o  p o d d a n i a  s i ę  p r a w d z i e  p r z e d s t a w i o n e j  itd.“ **)

Powiada też w tej odezwie swojej Towiański, że skoro Polska uzna „Sprawę Bożą“, czyli przyjmie jego naukę, „objawi się naówczas w Polsce, a potem na świecie całym Epoka wyższa chrześćjańska, ze wszystkiemi dobrodziejstwami jej, ze światłem i siłą wyższą itp.“

Poleca też przedewszystkiem ubiegać się o stworzenie „niebieskiej ojczyzny“, a ziemska sama się znajdzie, słowem jest tam wiele bałamuctwa na dawny zakrój „biesiady“ — ale też i poetycznych zwrotów podostatkiem. Bądź co bądź jest to ideologja, która już dziś zapewne na całym obszarze ziem polskich, nie znajdzie zdrowo myślącego wyznawcy.

---

Idąc za zwyczajem, powinnibyśmy żegnając się z Czytelnikiem, usprawiedliwić się z niejednego niedostatku, jaki się w pracy naszej objawia. Na wstępie i w toku opowiadania, uczyniliśmy to kilkakrotnie, więc teraz odkładając pióro dodamy to jeszcze tylko, że staraliśmy się jak najsumienniej zużytkować wszystkie materjały, że przedstawialiśmy rzecz bezstronnie tak, jak się takowa każdemu dziś wydać musi, kto się z nią bliżej zapozna.

*We Lwowie w styczniu i lutym 1876.*

KONIEC.

*) Do rodaków tułacz kończący tułactwo. Paryż 1863.

**) Tułacz kończący tułactwo. Paryż 1875 st. 19—20.

# Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

*(Ciąg dalszy.)*

## VIII.

*(Przygody kuglarza. — Sposób przyswajania jadowitych wężów. — Kamień* bezoard. *— Ukąszenie żmiji. — Cudowne wyleczenie.)*

Pobyt mój w górach Mahoo-Thoung zbliżał się już ku końcowi, i z powrotem przebywając przez wieś gdziem doznał przygody z nocnym złodziejem, pierwszą rzeczą moją było dowiedzieć się o stanie zdrowia chorej na puchlinę kobiety. Jakież było moje zdziwienie gdy mi powiedziano, że jest na drodze wyzdrowienia, i nikt nawet nie wątpił o jej całkowitem wyleczeniu. Zdumiony wypytywałem się, co mogło spowodować taki obrót choroby; byłże to wpływ wyobraźni, ślepej wiary, czy rzeczywiście skutek zastosowanego środka? W parę dni stanęliśmy w miejscu dawnego naszego obozowiska. Namiot rozpięto, rozłożono przybory gospodarskie, i jak niegdyś spojrzałem na ten piękny krajobraz rozglądając się wśród uroczej natury. Zatopiwszy wzrok w głąb łąki, na której zabiłem moje słonie, nie ujrzałem już stada, wyniosło się ono w inne strony, ale mimo to wzięła mię ochota obejrzeć bielejące skielety gruboskórnych kolosów. Zawołałem na Józefa i oba spuściliśmy się z góry.

Zamiast dotrzeć wprost do łąki, wolałem iść brzegiem lasu, postępując w największej cichości, aby nie zostać z nienacka napadniętym przez dzikiego zwierza, i by przypadkiem nie zmarnować nadarzyć się mogącej sposobności strzału; nadto często wśród dnia słyszałem ryk tygrysów by się puszczać bez broni. Józef szedł przedemną; chłopiec ten miał wzrok sokoli, naraz staje i obracając się do mnie:

— Panie! — rzecze — patrz tam!

— Cóż takiego? — zapytałem wpatrując się w kierunek wskazany.

— Ach! pan nie widzi.... Józef nigdy się nie myli. Niech pan spojrzy ot tam trochę dalej, nie dostrzega pan Siduhego jak zaczajony stoi pod drzewem?

W rzeczy samej, po chwili rozpoznałem go, do wpół przysłoniętego gałęźmi; głowa tylko wyglądała. Co u djabła mógł on w tem miejscu robić, przy skielecie słonia, piersiami oparty o drzewo, którego pień obejmował lewą ręką, z natężoną uwagą dzierżąc dah podniesiony w prawicy.

— Hola! Siduhe! zawołał Józef przykładając ręce do ust.

Indjanin poznał głos, odskoczył, upuścił swój kordelas i domyślając się, że muszę być w pobliżu, zwiesił głowę z rezygnacją nie obróciwszy się aż doszliśmy do niego.

— Szczególnej używasz latarni Siduhe, do szukania twoich zgubionych pieniędzy — rzekłem spoglądając na dah leżący na ziemi.

Zrozumiał widać treść moich słów, gdyż nie czekając na tłumaczenie Józefa zawołał:

— Oszukałem cię booghuy, ja nie zgubiłem... w tej chwili czatowałem na drugiego *naja*, któregom chciał zabić... przyszliście za wcześnie, obecność wasza przeszkodzi wszystkiemu.

— Jesteś więc pewny spotkać w tem miejscu węża?

— Czekałem na samicę.... ten, któregoś pan zabił, był samcem, poznałem to przy ściąganiu skóry.

— Więc dla tego nie stawiłeś się wtenczas przy wymarszu?

— Chciałem się zabezpieczyć na później, w razie gdybym nie ubił samicy. Nie zobaczywszy jej, wziąłem głowę i tułów węża rzucony w krzaki, rozmiażdżyłem kamieniem czaszkę o pień tamaryndy, cielskiem wytarłem drzewo i zebrawszy szczątki, zatopiłem je w kałuży w chwili złączenia się z naszym oddziałem.

— I na cóż tyle ceremonji?

— Byłeś pan dobrym dla mnie, to też nic przed nim nie ukryję. Zresztą może pan i lepiej wiesz odemnie rzeczy o które mię wypytujesz. Genjusz który ci o wszystkiem donosi, mówi ci o tem co byś inaczej nie wiedział.

— Tem bardziej nie powinieneś nic zatajać przedemną. Nie uciekaj się więc do kłamstwa i powiedz w jakim celu niosłeś tak daleko kamień, tułów, i głowę węża?

— Ażeby samica straciła wszelki ślad. Przynęcona do drzewa odorem pozostałej śliny i wytartego o pień cielska samca, spodziewa się że wcześniej czy później on powróci w to miejsce i szuka go ciągle w tych stronach. Ślady jakie dojrzałem potwierdzają moje oczekiwania.

I w rzeczy samej pokazał nam świeże pozostałości świadczące o niedawnej bytności płaza.

— Chora kobieta musiała się okazać hojną względem ciebie, — zagadnąłem go przerywając dalsze nad śladami spostrzeżenia.

— Dała mi rubin.

— Jakiej wartości?

— W Bangun można by za niego dostać ze 100 rupij, ale w tej mieścinie nie wart więcej jak dwadzieścia.

— Proszę, tak znaczne wynagrodzenie za chybiony zamiar.

— Nie mówię tego booghuy.

— Jakto, a za cóż dostałeś rubin, nie za projekt wykradzenia mi skóry? wytłumacz się jaśniej.

— Przed roztrzaskaniem głowy węża, którego wy nazywacie *cobra capello* a my *naja*, obejrzałem ją dokładnie, ale nie znalazłszy nic, wziąłem się do kadłuba i roztworzyłem mu żołądek....

— I cóż?

— Znalazłem żywy kamień i dałem go chorej kobiecie.

Szczegóły te, wypowiedziane z otwartością, zdziwiły mię i zaciekawiły; nie dając wszakże nic poznać po sobie, zająłem się oglądaniem skieletów ze słoni; z powrotem dopiero zawiązałem rozmowę z Siduhem, który następujące dał mi o sobie objaśnienia.

W pierwszej wiośnie młodocianych lat swoich, Siduhe został przez rodziców oddany w usługi pewnego szarlatana, goniącego po świecie. Siduhe był zmyślny i tak szybkie robił postępy w sztuce czarowania, że oczarował córkę swego patrona. Ojciec rozgniewał się na serjo, a Siduhe rozważywszy swoje położenie, uciekł i przystał do wioślarzy. Miał on ważne powody do takiego przedsięwzięcia; postępowanie kuglarza wydawało mu się niejednokrotnie podejrzane, i chociaż z usposobienia lekkomyślny, w gruncie serca był on uczciwym chłopcem. Tajemne knowania z jakiemiś nieznanymi ludźmi, którzy zdawali się należeć do sekretnego stowarzyszenia, nagłe, niewytłumaczone wydalania się patrona, jego powroty tak samo tajemnicze, ciągłe zmiany wytkniętego celu podróży, wydawały mu się nieczystą sprawą, nie miał więc ochoty przystąpić przez ożenienie do stowarzyszenia może jakich złoczyńców, a że przez odmowę bał się ściągnąć na siebie surową karę, wolał chwycić się ucieczki. Z tej jednak praktyki pozostały mu wiadomości, których mi po drodze udzielał.

Węże niejadowite, dają się bardzo łatwo oswajać, ale że nie sprawiają najmniejszego wrażenia na publiczności, więc ich edukacją kuglarze zupełnie się nie zajmują. Oprócz węża *naja*, jest w Birmanji jeszcze jeden gatunek jadowity, rodzaj padalca, mały, gładki, lśniący, żółtosrebrzysty, podobny do dużej ziemnej glisty; jego ukąszenie jest śmiertelne a złość taka, że jeżeli nie zdoła dosięgnąć żądłem, lub wyśliznąć się z pod palców, rozpada się na dwie i na trzy części: dresury tego gada musiano się wyrzec. By oswoić węża *naja*, trzeba mu poprzednio wyrwać zęby, co stanowi operację nader niebezpieczną, ponieważ jego ukąszenia są prawie zawsze śmiertelne, chyba że się użyje natychmiastowych środków zaradczych, chociaż i to nie zawsze pomaga. Łowiąc go, trzeba się uzbroić w kawał sukna lub innej materji, którą mu się zarzuca na głowę, i czeka, dopokąd złość jego nie osłabnie w bezsilnych szamotaniach, i póki nie wyczerpie całego zapasu jadu, a gdy wisi jeszcze uczepiony u szmaty, chwyta się go za kark, w otwartą paszczę wsuwa kij i wyrywa zęby za pomocą stosownych do tego instrumentów. Wtenczas dopiero zamyka go się do paczki i skazuje na post kilkodniowy, póki nie okaże znośniejszego humoru. Dresura węża wymaga wielkiego starania: słowa wymawiane zawsze z jedną intonacją, kawałki wygrywane na piszczałce lub innym instrumencie, stanowią tyle różnych wskazówek, których płazy słuchają. Po takim przedłużonym poście, za całą żywność dostają od czasu do czasu trochę żółtka ugniecionego, aby tylko z głodu nie zginęły, i korzystając z osłabienia spowodowanego tym systemem, kuglarze biorą się do ich edukacji, wyuczając różnych sztuk, jak taniec lub trzymanie się prosto na ogonie.

Kiedy rozpoczyna się przedstawienie, szarlatan stawia szkatułę na ziemi, uderzeniem w wieko powtórzonem dwa lub trzy razy, pierwsze daje ostrzeżenie, poczem przemawia jakieś tajemnicze słowa, wykonywa melodję z odpowiedniemi znakami mistycznemi i odkrywa pudło. *Naja* uwiadomiony temi manewrami, przysposabia się do zapracowania na swoje nędzne pożywienie. Wychodzi z kryjówki, czołga się stosując swoje ruchy do tempa wykonywanego przez szarlatana, który na końcu laski rozszczypionej w górze, trzyma pigułkę ugniecioną z żółtka. Przynętą wprawia węża w taniec, ten wspina się na pierścieniach ogona, zniża, to znów podnosi, kierując się za laseczką magiczną ukazującą mu przysmak raz wyżej to znów niżej. Często w jednem pudle zamykają razem kilka płazów, i rzecz dziwna, że choć są głodne wzajem się nie pożerają. Wpływem magnetycznym jak z tego widać, jest po prostu post przedłużony, ponętny kąsek dla zgłodniałego płaza, a w danym razie ostra kara; co się zaś tyczy sposobu, którym wywołują węże ze szczelin, gdzie się ukrywają, iest on naśladownictwem ustami syku, jaki te płazy zwykły wydawać w czasie swoich zalotów.

By więcej wprawić w zdumienie publiczność, a tem samem powiększyć dochód, kuglarza bawią się z wężem *naja*, drażnią go i dają się kłóć

żądłem po rękach, szyi, ramionach, twarzy, następnie rzucają mu szmatę do szarpania, aż w końcu rozjuszony na nich się rzuca i ugryzie; oto efekt do jakiego zmierzają. Ukąszenia takie nie są szkodliwe, a jednak widziano kuglarzy ginących od nich mimo żywego kamienia jaki na takie wypadki chowają. Epoka w której ten rodzaj zabawy najwięcej przedstawia niebezpieczeństwa, jest zwykle czas zmiany skóry u węża. Po obudzeniu ze snu letargicznego, płaz w którym nie zawsze jad zaprzestaje się wydzielać, okazuje wielką żarłoczność, i ukąszenia jego gdy głód zamienia się we wściekłość, są bardzo zdradliwe. Wprawianie węża w stan kataleptyczny jest sztuką oddziaływującą silnie na umysły publiczności; aby to osiągnąć, ściska się go bardzo mocno za kark z tyłu, i natenczas płaz przybiera niezwykłą sztywność, wyprężony jak laska stoi na ogonie, lub rzucony o ziemię pada niby kawał drzewa.

Jest to wierutna bajka, by żywy kamień mógł sam przez się uchronić od ukąszenia jadowitych płazów; ale szarlatani dla swej korzyści wyzyskują to mniemanie, każąc sobie drogo płacić za ten talisman; za to utłuczony na proch i rozpuszczony w letnim napoju, jest środkiem pochłaniającym zarody wodnej puchliny, a można go także dawać z wielkim skutkiem na przypadek ukąszenia gadu. *Naja* i *cobra-capello* stanowią jakem to mówił jeden gatunek, i żmije te są skłonne do formacji kamyków, czyli skupienia się części wapiennych bardzo zbliżonych do kamieni, wytwarzających się w innych zwierzętach Indji jak w gazelli, tygrysie, babirusach i krokodylach. Siedziba takich wytworów kamykowatych nie jest oznaczoną, znajdują się one w żołądku, we wnętrznościach, a nie raz i w głowie. Stara medycyna nadała im nazwę *bezoaru* i za wiele cenione w dawnych czasach, dziś są może zanadto zaniedbane.

Podczas tej rozmowy, zbliżyliśmy się do naszego koczowiska. Siduhe prosił bym mu na jutro wyrobił pozwolenie wydalenia się rano z obozu, gdyż chciał jeszcze szukać szczęścia około upatrzonego drzewa. Otrzymawszy czego żądał, udał się o świcie na swoje stanowisko i rzeczywiście oczekiwania jego nie były mylne, przyniósł bowiem samicę, z której ściągnięta skóra była trochę krótsza niż poprzednio ubitego płaza, głowa zaś miała owe zakreślenia podobne do okularów. Co się tyczy żywego kamienia, przysięgał, że go nie znalazł.

Gdym powrócił do Mandelay, zarekomendowałem poczciwego chłopca jednemu zawiadowcy rządowych warstatów, który za mojem wstawieniem powierzył mu bardzo korzystny urząd inspektora wyrębu drzewa fabrycznego. W parę miesięcy później, w chwili gdym się tego najmniej spodziewał, ujrzałem przed sobą w stroju podróżnym z rozpromienioną twarzą Siduhego. Zapytałem go o powód tej radości. Wręczył mi *bezoard* prosząc, bym zechciał przyjąć tę drobnostkę jako mały dowód wdzięczności za wszystkie moje względy i dobrodziejstwa. Kamyk zaledwie wielkości migdała był bardzo ładny, koloru zielonawego, zbliżony do malachitu, bez żył i wpadał w cień iłowaty. Chciałem mu dać wynagrodzenie za trud, lecz on w żaden sposób nie chciał nic przyjąć.

— Skądże przyszedłeś do tego kamienia? — zapytałem go po chwili.

— Zmuszony pilnować wyrębu drzewa, w lasach graniczących z górami Mahou-Thoung, zaczaiłem się powtórnie w tem samem miejscu gdzie pierwsze dwa węże zostały ubite, i szczęście mi posłużyło, doczekałem się młodego *naja* szukającego za matką. Booghuy — dodał głosem wzruszonym — ja zawiniłem przeciwko tobie wchodząc w zmowę z chorą kobietą i tegom zawsze mocno żałował, to też gdy mi się nadarzyła sposobność uchronienia cię panie od nieszczęścia, kiedyś się tego nawet nie domyślał, byłem prawdziwie szczęśliwy.

— O czem chcesz mówić? — zawołałem.

— Powracając z naszej wyprawy, zbieraliśmy Józef i ja owoce po drodze, w tem sługa pana znalazł w pniu drzewa plastry miodu. Tuż przy nim rósł krzew z lśniącym liściem, ciemno zielonym od spodu, okryty bukietami kwiatu koloru liljowego, białego i pąsowego (*rhododendrum ponticum*). Józef by pana uraczyć, chciał zabrać plastry, ja się sprzeciwiłem temu.

— A to z jakiego powodu?

— Miód pochodzący od pszczół, które wysysają soki z tego krzewu, sprawia gwałtowne nudności i zawroty głowy, tem straszniejsze, że się często powtarzają w przerwach dłuższego czasu. Druga odmiana tego krzewu dobrze panu znana (*rhododendrum arboreum*) służy niekiedy za lekarstwo; herbata z jego liści nadto mocno naciągnięta, jest trucizną, ale w umiarkowanej dozie leczy cudownie bole reumatyczne, choroby skrofuliczne i także wodną puchlinę. Są to sekreta, które dotychczas chowałem w tajemnicy przed tobą booghuy i źle robiłem...

—Dzięki ci mój przyjacielu — rzekłem ściskając mu dłoń. Siduhe po tych wynurzeniach oddalił się pogodzony z samym sobą. Kamień otrzymany od niego kazałem sobie oprawić w pierścień i nosiłem go póki tragiczny wypadek nie zmusił mię poświęcić dla uratowania życia kobiecie.

Będąc w Kalkucie, przypatrywałem się często z wielkiem zaciekawieniem sztukom pokazywanym publicznie przez niejakiego szarlatana, sławnego ze swojej zręczności. Człowiek ten miał przy sobie kobietę, a raczej niewolnicę, niezwykłej piękności, lecz niewinne galanterje jednego z moich przyjaciół, obudziły w nim zazdrość. Dnia pewnego rozdrażniony, nie wiem już dobrze dla jakich powodów, w napadzie gniewu wyrwał ogromnego węża *naja*, który w trakcie zrzucania skóry pogrążony był w śnie letargicznym, w którym to okresie jadu nie przestaje z siebie wydzielać i rzucił na niewolnicę; obudzony z nienacka wąż, ukąsił ją okropnie w prawe ramię. Szarlatan przestraszony własnym uczynkiem, wpakował coprędzej węża do skrzynki i uciekł. Objawy zatrważające poczęły występować bardzo silnie, wąż miał wprawdzie zęby wyrwane, lecz z tem wszystkiem nieco jadu musiało się rozlać z głównego kanału.

Kazałem natychmiast przenieść nieszczęśliwą do laboratorium aptecznego, ścisnąłem ramię bandażami, wypaliłem ranę rozczynem *alcali* i wpuściłem jej przez zaciśnięte zęby parę kropel *caya-puti*, dla złagodzenia spazmów; gdy te trochę ustały, dałem małą dozę soku z owocu *anakardy* wschodniej, chcąc wywołać silne wymioty. Kiedy już ciepło zaczęło się rozchodzić po ciele i puls przyszedł do stanu normalnego, utłukłem mój *bezoard* i rozpuszczony w herbacie podałem go chorej. Poty nastąpiły jakby pod cudownem dotknięciem i we dwie godziny nieszczęśliwa niewolnica była uratowana.

Może niektórym osobom wyda się przesadzonym skutek przypisywany tym kamieniom, ośmielę się jednak przytoczyć że wedle sprawozdań pana A. Hausmana, delegowanego ministerstwa handlu, widzimy że *bezoard* w znacznej ilości figuruje corocznie jako artykuł farmaceutyczny wywożony z Indji do Chin. Otóż *bezoard* idzie nietylko do Chin, ale jest rozwożony w znacznych zapasach do Nepalu, Tybetu, Persji, Arabji, Turkestanu i innych prowincyj Wschodu.

(C. d. n.)

---

# Tak być musiało.

**Powieść.**

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

*(Ciąg dalszy.)*

## CZĘŚĆ DRUGA.

### IX.

Po wypadku na polowaniu, hrabia Eustachy Olpiński był ciągle w złym humorze, a chociaż Herminie najmniejszego nie zrobił wyrzutu, ona bez trudności odgadła, że wujaszek nie był z niej zadowolonym i chciał coś powiedzieć, lecz nie miał odwagi.

— Drogi wujaszku — rzekła raz wieczorem, gdy oryginał jak według zwyczaju przyszedł do niej na pogadankę — jeśli się nie mylę, wujaszkowi cięży coś na sercu, czego radby się pozbyć.

— A kto ci to powiedział, he?

— Kto mi to powiedział? przeczucie, które u nas, kobiet, większą odgrywa rolę niż u panów rozum. Wujaszek taki teraz zamyślony, nic nie pisze...

— Zgadłaś, rzeczywiście zgadłaś, a kiedy sama pytasz, więc powiem, powiem... Muszę tylko popatrzeć czy kto nie podsłuchuje, bo ta twoja panna Marjanna ciekawsza niż wygląda.

Hrabia wyszedł, pozamykał drzwi od przyległych salonów i wrócił do buduaru siostrzenicy.

— Moja droga Herminciu, — zaczął przysuwając sobie fotel do kozetki, na której ona siedziała — czas byśmy sobie nawzajem powiedzieli co nam na sercu ciężu, bo tak dłużej być nie może.

— Najchętniej, tylko jedna prośba drogi wujaszku. Jeżeli łaska, nie cytuj dziś Monteskjusza bo to przewlecze rozmowę i porozumienie utrudni.

I roześmiała się serdecznie.

— Niech go licho porwie z wszystkimi filozofami! — odparł hrabia i ręką machnął niecierpliwie; — nie o filozofji mam teraz mówić, ale o życiu, o twojem życiu Hermino... I cóż ty na na to, he?

— Nic, słucham.

— A więc dobrze, bardzo dobrze... będę zatem mówił, tylko proszę nie przerywaj, póki nie skończę. Gdy przed trzema laty otrzymałem list od twojej matki z uwiadomieniem, że porzuciwszy męża, na dłuższy czas do mnie przyjedziesz, byłem z początku stanowczo temu przeciwny, bo według mego przekonania, kobieta może dopiero wtedy opuścić męża, gdy wpierw wyczerpie wszystkie środki, które bądź jego mogą naprawić jeżeli jest złym, bądź ją przeistoczyć jeśli do męża nie umie się zastosować. Wyście myślały, że ja się sprzeciwiam przez skąpstwo, lub dla tego, że lubię samotność, a tymczasem ja chciałem tylko twego dobra. Wierzysz temu Hermino, he?

— Wierzę, wujaszku, ale nie wiem do czego ten wstęp zmierza.

— Pomaleńku, pomaleńku, gdzie jest wstęp, tam będzie i ciąg dalszy. Przez cały czas twego pobytu u mnie, unikałem rozmowy o Henryku, i tylko raz usiłowałem cię nakłonić, byś się z nim pojednała, na coś mi wtedy odpowiedziała, żeś jeszcze tak nisko nie upadła. Nie wypytywałem cię nigdy jak sprawa stoi, a nawet przyznam ci się otwarcie, dotąd nie wiem dokładnie, co was właściwie poróżniło, dla czego męża porzuciłaś. Czy przypadkiem nie mógłbym się teraz o tem dowiedzieć, he?

— I owszem — odpowiedziała młoda kobieta półgłosem i z oczyma w dół spuszczonemi— chociaż wielką mi to przykrość sprawi, powiem ci jednak drogi wujaszku, byś się przekonał, że postąpiłam jak każda kobieta uczciwa powinna była postąpić. Za Henryka, którego wujaszek zna bardzo dobrze, poszłam z prawdziwego przywiązania... Kochałam go tak, jak tylko kochać można. Nie miał majątku, stracił go przedwcześnie, jam o tem ani pomyślała. Kilka miesięcy byłam też szczęśliwą, ale niestety zaledwie kilka miesięcy! Zbyt wcześnie przekonałam się że mnie zdradzał.

Ostatnie słowa Hermina z trudnością wymówiła. Odnowione wspomnienia widoczną musiały jej przykrość sprawiać, bo skończywszy, zasłoniła sobie twarz i tak chwil kilka przesiedziała z głową wspartą o poręcz fotelu.

— Zdradzał? A jak to on ciebie zdradzał, he?

Zapytana głowę podniosła; z jej oka strzeliła dumy błyskawica.

— Jak mnie zdradzał, pytasz wujaszku? Tak jak zdradza człowiek, dla którego serce kobiety jest igraszką, który o obowiązkach najmniejszego nie ma wyobrażenia, jak człowiek bez honoru! Wuju, drogi wuju, on mnie zdradzał dla pospolitej baletnicy!

— To źle, bardzo źle... ale czemu moje drogie dziecko nie starałaś się oderwać go od niej, poprawić zbłąkanego, wskazać mu drogę obowiązku?

— Jak to? — zawołała Hermina,— więc z nią, z tą baletnicą miałam rywalizować o miłość jego!? Ach, wujaszku, to wyborne, arcywyborne! Tak nisko nie upadłam jeszcze! A co do poprawienia go, przyznam się że nie kształciłam się na nauczycielkę. We mnie wuju gra ambicja, duma, ja wpierw zginę nim się poniżę.

Jej oko było groźne, twarz pałała, nozdrza się rozszerzyły. Powstawszy zaczęła szybko chodzić po pokoju.

— Moje dziecię — odparł oryginał — Montesquieu powiedział w księdze VII rozdział IX, że kobieta jest tak słabą, iż nie może być dumną, tylko próżną. Ale prawda, miałem go nie cytować... bierz go licho! Nie duma więc Hermińciu mówi przez ciebie, nie, ale obrażona miłość własna. Powodowana tą namiętnością porzuciłaś Henryka, i teraz od trzech lat starasz się o uzyskanie rozwodu. Lecz ty siebie oszukujesz moje dziecko, ty mówisz o rozwodzie, i wzbogacasz Tarczuka który cię wyzyskuje, a w głębi duszy pragniesz by rozwód nie przyszedł do skutku. Nie, Hermino, ty nie chcesz rozwodu.

— Kto to wujowi powiedział? — zapytała hrabina więcej zaniepokojona, jak zdziwiona.

— Przeczucie, przeczucie, bo my oryginały miewamy tak samo przeczucia jak wy kobiety. Otóż ono mówi mi, że ty Henryka chciałabyś ukarać, upokorzyć, nie wiem nareszcie co więcej, ale nie stracić. Gdy niedawno temu Tarczuk będąc u ciebie uwiadomił cię, że Henryk zgadza się na rozwód, bez którego to zezwolenia o ukończeniu procesu nie mogło być mowy, czemu dałaś mu odpowiedź wymijającą, czemu kazałaś mu się jeszcze wstrzymać... he?

Hermina milczała; jej oczy były teraz utkwione w próżny kąt pokoju.

— Czemu — ciągnął hrabia — ja ci powiem Hermino... ty go kochasz!

Zbudziła się jakby pod wpływem prądu elektrycznego.

— Ja go kocham?... Nie! nie! przenigdy! Ja go chyba nienawidzę!

— Nie wmawiaj w siebie uczuć, których nie masz — odparł hrabia biorąc ją za rękę. — Ty go kochasz i kochać musisz, jeśliś go dawniej kochała, bo to, co on uczynił, nie było jeszcze zbrodnią. Źle zrobił, że romansował z inną, bardzo źle, ale czy to jeszcze dowód, że tamtę kochał, a ciebie nie? O moja Hermino, wierz mi, takie miłostki przelotne, to drobnostki, na które kobieta rozumna i z sercem nawet zważać nie powinna.

Hermina odzyskała tymczasem dawny spokój i dumę dawną.

— Nie mów mi tego wuju, bo to mnie boli. Mąż który tak się zapomina, nie ma dla żony ani szacunku ani miłości. Ja też nie chcę go widzieć, nie, choćbym umarła!

Pan Olpiński powstał, zbliżył się do siostrzenicy, a patrząc jej w oczy, rzekł poważnie:

— Jeśli tak, to ci powiem, czego może powiedzieć nie chciałem. Popatrz do koła siebie, a znajdziesz człowieka, męża, który jest nie mniej winnym, jak Henryk. Edmund kochał swoją żonę, kocha ją dziś jeszcze, a mimo to warjuje za tobą. Widzisz Hermino, twoje rozumowanie obraca się przeciwko tobie samej?

Młoda kobieta pobladła; przez jej usta wyrwały się słowa ledwie dosłyszalne:

— Mylisz się wuju... jam tego nie dostrzegła.

— Ja się nie mylę kobieto, nie mylę, a ty się nie wypieraj, bo sobie ubliżasz. Nie powiem byś go rozmyślnie bałamuciła, bo nadto jesteś szlachetną, ale przelotnemi spojrzeniami, uśmiechami i półsłówkami, wreszcie przyjaźnią okazywaną jemu i jego żonie, zawróciłaś głowę młodemu człowiekowi. A może była nawet chwila, żeś sama chciała się w nim rozkochać, aby tem łatwiej zapomnieć Henryka, bo wy lubicie takie antidotum. Kto was tam pozna!... Tak więc w Edmundzie obudziła się namiętność krwi, która dziś zaspokojona, jutro zgaśnie... Ale to nie miłość Hermino, nie! Tak samo błądził twój mąż, a ty go potępiasz, ty go odtrącasz...

— O mój wuju! mój wuju! — zawołała młoda kobieta, rzucając się oryginałowi na szyję i na jego piersi twarz ukrywając — jeślim zawiniła, to chyba tem, że jestem kobietą!

I łzy, pierwsze, które hrabia od trzech lat zobaczył w jej oczach, nie pozwoliły jej więcej powiedzieć.

— Ja to wiem, moje dziecko, wiem, i dla tego nie rzucam na ciebie kamieniem. Ale żeby wszystko naprawić, żeby ocalić ich obu i kobietę, która chyba za to cierpi, że będąc twoją przyjaciółką szczerze cię kochała, trzeba żebyś jak najprędzej pogodziła się z Henrykiem. On już wrócił do kraju i jest...

— Gdzie? tu?

— Tylko nie tak porywczo. Jeszcze nie tu, dopiero w mieście, ale jutro może być u nas. A teraz nie płacz Hermino, nie płacz, bo widzisz ja stary, mnie to denerwuje.

Rzekłszy to oryginał wyjął chustkę i z pośpiechem obtarł sobie oczy.

— O mój dobry, poczciwy wuju! — szepnęła młoda kobieta, a pochwyciwszy rękę oryginała, przycisnęła ją do ust namiętnie.

Wtej samej chwili otworzyły się drzwi i wszedł służący z listem na srebrnej tacy.

— Od kogo?

— Z Romanówki... Przywiózł go Grześ na koniu i prosi o odpowiedź.

Hermina zawahała się i listu nie wzięła; hrabia ją wyręczył, poczem dał znak służącemu aby wyszedł.

— Jak widzę od Krzemińskiego... w rzeczy samej od niego... Przeczytaj, przeczytaj, zobaczymy co on pisze.

Hermina jednem spojrzeniem objęła cały list składający się z kilku wierszy, i padła na fotel z jękiem:

— O Boże!

— Co to jest?

— Czytaj, czytaj wuju!

Hrabia czytał:

„Stoję nad przepaścią, z której wyjścia nie ma, ratunek tylko w twoich rękach Pani! Jeżeli ci nieobojętnem życie człowieka, proszę dziś o chwilę rozmowy. Będę wieczorem w ogrodzie, tuż przy furcie, przez którą idzie się do szkoły. Edmund."

— Ho, ho, ho! — rzekł hrabia głową kręcąc — przepaść — ratunek — życie człowieka — prośba o schadzkę... Patrzcie, patrzcie jaki z niego ptaszek. A to młokos! Hermino, i cóż na to, he?

Nic nie odpowiedziała; twarz miała rękami zasłoniętą.

— Zrób więc jak ci rozum i serce każą.

Hrabia zbliżywszy się do siostrzenicy pocałował ją w głowę i wyszedł.

Ona po chwili zbudziła się jak z letargu, a zadzwoniwszy, kazała służącemu przyprowadzić Grzesia. Gdy ten wszedł rzekła:

— Powiedz twemu panu, że dobrze.

(Dok. n.)

---

## Śmierć Mojżesza.

Dzień się usuwał w mroku błękity,
Miotając ognie na wzgórków szczyty,
Na morza spokojne wody,
Djamentowemi lśniące żwierciadły;
Śpiew ptaków milknął, w koło się kładły
Wieczorne ciszy i chłody.

Spokój gołębiem skrzydłem powionął,
Tylko wiatr w palmy warkoczach tonął
Szeleszcząc liśćmi drżącemi;
Bo jest to chwila, o której społem
Anioł snu, z bladym śmierci aniołem
Płyną z niebiosów ku ziemi.

Cień na moabskie padał doliny,
Tylko na szczycie góry jedynej,
Naprzeciw miasta Jerycho —
Zbiegły się wszystkie słońca promienie,
I jak na wyższej woli skinienie
Stanęły paląc się cicho.

To góra Nebo! Na szczycie onej
Stał prorok Judy, wiekiem schylony,
Przybity trudów brzemieniem —
I założywszy na piersiach dłonie,
Ku chananejskiej spoglądał stronie,
Ostatniem wieszczem spojrzeniem.

Śnieżnego włosa i szaty bielą
Jaśniał wśród mroków, jak nad topielą
Niegdyś słup ognia przewodny;
A na wyniosłem proroka czole,
Przeszłości troski, walki i bole
Spłynęły w spokój pogodny.

On przed wieczności staje dziś progiem —
On raz ostatni rozmawia z Bogiem
Wielką zadumą przedzgonną;
Składa ofiarne żywota brzemię,
I obiecaną ogląda ziemię
Już jego braciom niewzbronną!

Tam płacze po nim lud Izraela,
A oto dłań się przed nim rozściela
Płynąca mlekiem i miodem
Kraina cudna, z końca do końca,
Gdzie zejdzie promień nadziei słońca
Nad jego biednym narodem.

Koniec pielgrzymki długiej, tułaczej,
Koniec niewoli, koniec rozpaczy,
Już Pan przebacza — rozgrzesza —
Ludu uporny, niewdzięczny ludu!
Znalazłeś łaskę ofiarą trudu,
Ofiarą pracy Mojżesza!

Wielkiej miłości jego natchnieniem,
Niezłomną wolą i poświęceniem,
Któremi wiódł cię przez życie —
Przez dni tułactwa goryczą strute,
Łagodząc winę, dzieląc pokutę,
Karząc i ciesząc jak dziecię.

Ileż to razy w twej mściwej dłoni,
Dla jego jasnej przeznaczon skroni
Zabójczy kamień spoczywał!
Jak często prawe rzucając drogi,
Fałszywe sobie tworzyłeś bogi,
I klątwyś niebios wyzywał!

On ją odwracał od waszej głowy,
Przebłagał Pana wyrok surowy,
Co wieczną groził zatratą —
Marzeniem jego bezsennych nocy
Była twa przyszłość w chwale, i mocy,
Królewską odziana szatą!

Jasnem przeczuciem widział ją we śnie —
Lecz wyrok Pański brzmiał: — Jeszcze wcześnie,
Jeszcze doświadczać ich muszę!
Jeszcze oczyszczać pokutą twardą...
Więc się raz prorok rozżalił hardo
Na swego ludu katusze.

Raz tylko jeden, lecz upadł duchem,
I szemrał gorzko w zwątpieniu głuchem:
— Azaż wytracisz nas Panie?
Bo oto widzę że wpierw po świecie
Wicher pustynny proch nasz rozmiecie
Nim dłoń Twa karać przestanie!

I jakież gniewu Twego powody?
Czyliż mniej grzeszą inne narody
We krwi pławiące się bratniej!
Zwodzące tany wśród świątyń zgliszcza,
Za cóż mój naród gniew Twój wyniszcza
Jak z ludów świata ostatni?

Pocóż go z kajdan srogiej przemocy
Wyrwał skinieniem Twojej wszechmocy,
Gdzież obiecana kraina?
Próżno jej oczy szukają w dali,
Głód nas wyniszcza, pragnienie pali,
O Panie lud mnie przeklina!

W tułactwie lat nam mija czterdzieści!
I rozdarł szaty swoje w boleści
Krwawej, bluźnierczej, bezmiernej —
W tem padł głos z góry: — Bóg wam przebacza,
Bo wielka miłość w tobie rozpacza,
Duchu niewdzięczny, niewierny!

Wybranym byłeś, byś lud wybrany
Do ziemi szczęścia wiódł obiecanej,
Gdzie wielka przyszłość go czeka.
Lecz myć się musiał w pokuty zdroju,
Aby wszedł do niej w tym białym stroju
Który wybrańców obleka.

Dziś ból ogromny Twojej miłości
Przeważył szalę sprawiedliwości,
Skinę i pierzchnie pomroka!
Lecz ty nie wejdziesz do tej krainy,
Gdzie waszych synów zawiedzie syny
Głos już innego proroka!

Inny dokończy dzieła twej ręki,
Innemu ludu twojego dzięki
Hołd serca przyniosą w dani,
I grzmiący oklask chwały przelotnej!
A ty na skale skonasz samotnej
Jak zwykle kończą wybrani!

Ale przed zgonem Twe oko wieszcze
Przyszłość narodu obaczy jeszcze,
Którą przeczułeś tęsknotą,
Ale choć przejdą wieki olbrzymie,
W pamięci jego wiecznie twe imię
Wpisane literą złotą!

Tak brzmiały Pańskiej wyroczni słowa,
I stań się! stało... jak chciał Jehowa...
Bo oto na skały szczycie,
Jak płomień w urnie alabastrowej
Taki mu siejąc blask w koło głowy
Ulata proroka życie!

Lwów 1 *Marja B.*

---

# Obrazy z Ameryki.

## F. GERSTAECKERA.

*(Ciąg dalszy.)*

### IV.

Czwartego dnia od wyjazdu z Nowego Orleanu, kapitan stojący z Grayem na hurricandeck'u obok sternika, w chwili gdy właśnie przed oczyma migały im się białe domy „Heleny“ w Arkansas, ujrzał dwa statki płynące z wodą, które na oko ścigały się o lepsze. Obydwa wylądowały prawie równocześnie w „Helenie;“ z jednego wysiadło na ląd kilku pasażerów, z drugiego wyładowano małą ilość ołowiu. Z ogromnym pośpiechem, ażeby nie dać się zbyt wyprzedzić współzawodnikowi, który zatrzymał się był tylko jednę minutę, zrzucano ciężkie sztaby ołowiu na brzeg, i właśnie nadpływał Oceanik, gdy ten drugi statek „General Green“ ruszył z miejsca. W tem na jakie pięćdziesiąt kroków od brzegu a 100 od Oceanika, podczas gdy Gray i kapitan Wilkens przez lunetę szukali na pokładzie znajomych twarzy, nagle biała para gęsto buchnęła z maszyny, po chwili dał się słyszeć straszliwy huk, i wysoko w górę poleciały zdruzgotane kawałki ze statku i ciała ludzkie okropnie pokaleczone.

— *Run on side of her! Run on side of her!* — wołał gwałtownie Wilkens — ratujmy przynajmniej ludzi ilu się uda wyratować, bo za chwilę statek zatonie... A no, dalej chłopcy! ratować tylko ludzi, rzeczy mi nie tykać i nie brać na czółna pod żadnym warunkiem!

Z szybkością strzały posunął Oceanik na miejsce strasznego wypadku. Bolesny widok przedstawił się oku na szerokiej przestrzeni około zrujnowanego okrętu. Woda była formalnie zakryta ciałami żywemi i martwemi, pakunkami, i najrozmaitszemi przedmiotami. Czasu nie było ani chwili do stracenia, bo ci, którzy na statku uszli strasznej eksplozji, mogli każdej chwili zatonąć, gdy gmach ubezwładniony zatapiał się w oczach. Teraz nadpłynęły także z miasta małe czółna z pomocą.

Dziwnem zrządzeniem Opatrzności, jedynie kajuta pań została zaszanowana od niszczącej potęgi, a kobiety śmiertelnie potrwożone, wybiegły wszystkie na resztki pokładu. Woda sięgała już tak wysoko, że ledwie kilka stóp dzieliły ją od najwyższej części statku, lecz właśnie Oceanik w sam czas nadpłynął.

W kilka sekund przednia część statku zatonęła, a w chwili gdy kobietom stłoczonym na małej, wystającej jeszcze z wody przestrzeni, przysunięto pomost, chwiała się i reszta tułowu grożąc niezwłocznem zatonięciem. Z bijącem sercem patrzył Gray na straszne widowisko, na te wybladłe przedśmiertną trwogą oblicza bezsilnych kobiet, gdy nagle jak błyskawica raziła go twarz jakiejś młodej panienki... — Celesto! — zawołał przerażony wątpiąc jeszcze o tożsamości najdroższej jego sercu osoby.

Na ten głos blade oblicze podniosło się ku niemu i z okrzykiem: William! wyciągnęła nieszczęsna ku niemu ramiona z niemą prośbą o ratunek. W tem toną resztki tułowu, i żółte głębie zwarły się nad anielskiem obliczem kochanki Graya.

— Celesto! — zawołał powtórnie biedny młodzieniec z najwyższą trwogą, i nie zwlekając chwili, jednym skokiem rzucił się z pokładu w bezdenne fale.

Widząc to majtkowie wstydzili się pozostać w tyle za swoim pasażerem: pięciu z nich, zrzuciwszy szybko niebieskie bluzy, wskoczyło za Grayem i przez kilka sekund, gdy ciała ludzkie formalnie tłoczyły się na sobie, nie można było rozpoznać, kto został uratowany, a kto i co zaginęło w tym chaosie na wieki dla świata. Bez tchu oczekiwali wszyscy pasażerowie Oceaniku rezultatu tych śmiałych zapasów dzielnego Greya z nieuchronną prawie śmiercią, aż nagle, wynurzył się z toni, a w ramionach niósł bez władne ciało kobiety — Celesty. Silnem ramieniem płynął do pobliskiego czółna, gdzie kilku podało mu zaraz ręce i wśród głośnych okrzyków radośnych dostał się na pokład Oceaniku. W podobny sposób uratowali majtkowie cztery inne kobiety, lecz wiele osób usnęło bezpowrotnie w żółtych odmętach.

Równie dziarsko uwijały się wśród tej strasznej gmatwaniny małe czółenka, przybyłe z miasta, i zdołały wydrzeć z zimnego grobu kilkanaście osób, pasujących się już ostatkami sił z potężną falą rzeki.

Później jak inne, przybyło jedno czółno od brzegu i z niezwykłą szybkością wymijając przeszkody, dążyło w miejsce, gdzie jakaś kobieta rozpaczliwie walczyła z przemożnym żywiołem. *Save me!* wyjękła stłumionym głosem i błagająco wyciągnęła ku wioślarzowi ramię. Ale ten potwór nie człowiek, nie chcąc brać niepotrzebnego ciężaru do łódki, wolał wyciągnąć rękę po jej kufer płynący obok niej, który mógł zawierać cenne rzeczy... Jeszcze raz wychyliło się z brudnej toni białe ramię nieszczęsnej, a potem zapadła w zimną otchłań. Tymczasem ten łotr bez serca, który z zimną krwią dozwolił zginąć obok siebie bezsilnej istocie, choć mógł ją uratować jednem wyciągnięciem ręki, uganiał się jeszcze chwilę po rzece, łowiąc do łódki cenniejsze przedmioty, a gdy spełnił swoje zadanie spokojnie i bezpiecznie, na oko bardzo z siebie zado-

wolony, powiosłował do brzegu, aby tam w bezpiecznem miejscu ukryć łup zdobyty.

Atoli tym razem miało być srodze ukarane to bezecne łotrowstwo. Z Oceaniku widział to wszystko kapitan i kilku pasażerów. Kapitan nie mogąc powstrzymać słusznego gniewu, drżącym od oburzenia głosem rozkazał przybić do brzegu. W chwili gdy dwaj majtkowie przywiązywali liny do brzegu, kapitan wyskoczył z kilkoma ludźmi na brzeg i pochwycił opryszka, który wysiadłszy z czółna wyciągał z niego wydobyte rzeczy. „Helena“ używa pomiędzy wszystkiemi miastami nad Missisipim najgorszej sławy; morderstwo i łupiestwo były tam niemal codziennemi zdarzeniami. Mimo to uczciwsi z mieszkańców, bądź widząc własnemi oczyma haniebną jego sprawkę, bądź dowiedziawszy się o niej od kapitana, tak dalece oburzyli się tą nieludzką drapieżnością swojego współobywatela, że pomogli kapitanowi związać opierającego się wściekle rozbójnika. Mr. Wilkens chciał oddać go szeryfowi, czemu atoli obecni sprzeciwili się najgoręcej.

— Powiesić go, powiesić natychmiast! — krzyczał tłum jednogłośnie. — Niech go Bóg przeklnie! Szkoda nawet sznurka na takiego łotra! Ukręcić stryczek z gałązek i powiesić go na pierwszem lepszem drzewie!

— Powoli, powoli panowie! — wołał jakiś poważny mieszczanin torując sobie drogę do delikwenta — zatrzymajcie się! Wprzód musimy głosować, kto z nas za a kto przeciw doraźnemu spełnieniu kary na tym mordercy, bo inaczej nazwać go niepodobna.

— Dobrze, głosujmy! — zawołano z tłumu.

— A więc posłuchajcie — ciągnął uliczny prokurator. — Kto głosuje za natychmiastowym wyrokiem niech stanie na prawo, kto zaś chce oddać łotra w ręce sprawiedliwości, aby go zapakowano na jaki roczek do więzienia, a potem wypuszczono na wolność, na ohydę naszego społeczeństwa, ten niech zostanie na miejscu.

— Powiesić go, powiesić niezwłocznie! — wołał tłum namiętnie i wszyscy ruszyli na prawo na wskazane miejsce, z wyjątkiem tylko jednego człowieka.

— Ja głosuję za tem, żeby go powierzyć sądom i poddać orzeczeniu prawa, bo przecie prawa wyszły z rąk waszych, szanowni obywatele. Nie stawajcie się katami, o mężowie Arkanzasu! — ciągnął z cycerońskim zapałem — tem bardziej, gdyście sami nie lepsi od tego wyrodka ludzkości, którego i w tej chwili samowolnie na śmierć prowadzić zamierzacie!...

— Nie zważajcie na to, co Davis mówi! — ze śmiechem zawołało kilku — jako adwokat z profesji musi wygłaszać takie bzdurstwa.... Ale my przeciwnie, okażmy tym obcym ludziom, że mieszkańcy Arkansasu nie znoszą wśród siebie zbrodniarzy!...

Kapitan Wilkens wystąpił teraz, chcąc równie odwieść zaciekłych od śmiałego przedsięwzięcia.

— Kapitanie! — rzekł na to postępując naprzód przewódzca energicznych Heleńczyków — w tych bagnach żyje podła klasa ludzi i możesz pan wierzyć mi na słowo, że ten oto łotr, stojący teraz z śmiertelną trwogą, skruszony i wybladły, nie jest o wiele gorszym od swoich towarzyszy. Skoro więc raz uwiśnie na stryczku, będziemy mieli o jednego mniej, skarb krajowy zyska na oszczędzonych kosztach żywienia zbrodniarza, a my nie będziemy mieli wstydu. Dla tego — kończył zwracając się do tłumu słuchającego go w głębokiem milczeniu — do roboty!

— Dalej z nim! — krzyczano zewsząd i pociągnięto z sobą winowajcę, który przeczuwając śmierć niechybną, rozpaczliwie błagał kapitana Wilkensa, ażeby nie dozwolił na zamordowanie go samowolne wbrew prawom i sprawiedliwości. Było to jednak daremnem! Pospólstwo zimne na jego jęki, robiło swoje. Wilkens i inni wróciwszy na pokład widzieli ztamtąd, jak tłum raczej niósł go, aniżeli prowadził do najbliższego drzewa. Kilku wdrapało się na słaby jego wierzchołek, przeginając szczyt własnym ciężarem, inni założyli stryczek na szyję skazanego, poczem go przymocowali do silniejszego konaru. Gdy pierwsi ustąpili, pień zwolniony od brzemienia wyprostował się szybko a na nim zawisło martwe ciało skazańca.

Simmons stał na hurricanedeck'u; kapitan z towarzyszami wrócili na statek. Ztąd widzieli całą scenę dokładnie. Gdy ostatni akt wstrętnej tragedji się ukończył, Simmons potrząsając głową zwrócił się do stojącego w pobliżu Daltona.

— Djabelnie szybka egzekucja w tym kraju — rzekł — pospiech niezmierny... oszczędza szeryfowi i sądowi wiele kłopotu, a nawet wcale dogodna dla głównej osoby, bo proszę pana przy podobnej procedurze, nużące śledztwa, wyroki, długie dni obawy śmiertelnej i t. d. wszystko odpada na korzyść obwinionego... Co do mnie jednak, wyznam otwarcie, — może to tylko mój przesąd — ale lepiej smakowałoby mi postępowanie legalne, a choćby jeno dla tego żeby dobrze się zastanowić, jak człek wędruje na tamten świat! Cóż bo znowu pan tak wlepiłeś wzrok na rzekę? Co tam tak ciekawego? — pytał dalej, widząc że Dalton nie słuchał jego zapatrywań na sumaryczną sprawiedliwość Heleńskich obywateli, jeno z przerażeniem malującem się na twarzy, wytężał wzrok na rzekę, jak gdyby się skupił cały w źrenicy. — Co u licha znalazłeś pan — że patrzysz i patrzysz i mało ci oczy nie wylezą z głowy?

— Mr. Simmons — rzekł młody człowiek chwytając go gwałtownie za ramię. — Czy pan nic nie słyszysz?

— Jak to, a cóż mam słyszeć? Jużci że słyszę... — jakiś hałas robią ci hultaje, jak gdyby z przyjemnością chcieli powiesić jeszcze jednego z pomiędzy siebie, choć Bogiem a prawdą, wszyscy oni zasługują na stryczek...

— Nie słyszysz pan, że ztamtąd zbliża się do nas parowiec? posłuchaj tylko dobrze? — Jak to, nie słyszysz? — pytał Dalton strwożony. — Ależ na Boga! Widać już za drzewami na skręcie parę wijącą się z maszyny, jestem ścigany, a my tu stoimy spokojnie i lada chwila ten statek zawinie obok nas do brzegu.

Z rozpaczą cisnął skronie i jak opętany biegał po pokładzie.

— Ot właśnie nadchodzi kapitan — rzekł Simmons — zapewne ruszymy zaraz, a wtedy stawiam dziesięć przeciw jednemu, że nas i czart nie dopędzi... oto widzisz pan, już biorą się do dzwonka... odwagi! Dalton, odwagi! Gdy było oczywiste niebezpieczeństwo za plecyma, spisałeś się jak na dzielnego przystało, nie kompromitujże teraz zyskanej reputacji błahym przestrachem, na widok pary za drzewami.

Przyszedł kapitan, a gdy usłyszał o co idzie i obaczył desperację Daltona, wziął go za rękę i poważnie skarcił za bezpodstawną obawę. — Mr. Dalton — ciągnął najzacniejszy z kapitanów amerykańskich — mówiłeś mi pan, że masz ważne powody, poślubić twą bogdankę w St. Louis, chcąc dopiero tam sprezentować ją swojej rodzinie — daję ci więc słowo honoru, że was oboje *in good condition* — mówiąc narzeczem marynarzy — do St. Louis odstawię i choćby ten stary rzeczywiście nas ścigał, czemu nie wierzę, djabła zje, czy mu się uda nas dogonić. Obaczysz, jakiego mu wystrychniemy figla.

— Ale prawda, że pędzi po szatańsku chociaż ma tylko jedną maszynę — ciągnął patrząc we wskazanym kierunku na rzekę i zasłaniając ręką wzrok od promieni słońca. Wspomniany parowiec oddalony był jeszcze kilka mil angielskich i zaledwie widać go było, jak mały punkt w oddali.

— Roberts! — zawołał kapitan na jednego ze swoich ludzi, murzyna czystej krwi; popatrz jaki to parowiec płynie do nas? Ten chłopak — rzekł zwracając się do Simmonsa i Daltona pozna każdy statek na Missisipi byle zobaczył dym z komina. Daj mu lunetę — a zaraz nam powie wszystko.

— Nie mogę z dołu widzieć dobrze! — wołał z dolnego z pokładu murzyn.

— Chodź na górę a żywo!

W kilku skokach czarny znalazł się na pokładzie. Przez chwilę przypatrywał się uważnie przez szkło, potem słuchał wyraźniej już dolatującego huku maszyny. W końcu, pokazując dwa rzędy białych zębów, rzekł stanowczo:

— To „Diana“ massa!

— Domyśliłem się.

— Jeśli rzeczywiście „Diana“, to parowiec ten najszybciej płynie z wszystkich używanych na Missisipi — wtrącił niepocieszony Dalton.

— No, *damn her!* ja przecie sprobuję czy dogoni mojego Oceanika — zawołał z werwą kapitan i zadzwonił tak gwałtownie, że wszyscy, którzy byli jeszcze na brzegu na wyścigi spieszyli na pokład.

— Ściągnąć liny! — komenderował Mr. Wilkens — spławić statek!

— Ależ ta dama, którą Gray wyratował — zauważył Simmons znajduje się u nas na pokładzie, a przecie nie miała zamiaru powracać ztąd do St. Louis?

Ze znaczącym uśmiechem odpowiedział na to zagadnięty.

— Ho! ho! snać musiała niedawno zmienić swoje zamiary, bo o ile wiem od Mr. Graya bardzo rada powraca do St. Louis i woli zdrowe powietrze Północy, niż żółtą febrę Południową. Za chwilę nasz statek ruszył się, i zrazu zwolna, potem coraz szybciej sunął wzdłuż zielonych brzegów.

— Czy ta dama była sama jedna na nieszczęśliwym parowcu? — pytał Simmons dalej.

— Jacyś dwaj panowie towarzyszyli jej. Z tych jeden gdzieś przepadł bez śladu, — a głowę drugiego widziano na brzegu pod drzewem.

— Brawo! to okrutne, okrutne! — odparł na to pytający ze wstrętem naturalnym — o! te przeklęte wyścigi okrętowe kosztowały już nie jedno życie ludzkie. Mojem zdaniem grzech to nie do darowania, pochwalać je lub co więcej, na nie pozwalać.

— Panie Simmons — to sport tylko! — tłumaczył kapitan — i jak tamten na koniu tak ten na okręcie doznaje tyle wzruszeń, że zapomina o niebezpieczeństwie i śmierci możliwej... Każda żyłka drga, serce o mało nie wyskoczy z piersi, byle tylko prześcignąć rywala. Choć

ganię otwarcie to *racing'* wyznać jednak muszę, że czasem tylko ta ogromna odpowiedzialność, jaką przyjąłem na siebie, gdzie setki ludzi przez moją lekkomyślność zginąć by mogły, powtarzam — tylko ta myśl wstrzymuje mnie od stawienia na kartę mego życia i tylu ze mną ludzi. Śmiech bierze, gdy się człek zastanowi, o co właściwie jednemu lub drugiemu głównie idzie, o nędznych kilkadziesiąt sążni, o które go przegoni. Ale to sport mój panie, namiętność! Posłuchaj pan, opowiem mu ciekawą przygodę.

Płynąłem raz do Nowego Orleanu i miałem na pokładzie jedną panię, która tylko pod tym warunkiem zgodziła się wstąpić na mój statek, jeśli się zobowiążę uroczyście, że w całej drodze ani razu nie pokuszę się wyprzedzić innego okrętu. Przyobiecałem to jej bez trudności. Mimo wiedzy i woli przez noc, zbliżyłem się znacznie do innego parowca, który na dobrze sześć godzin ruszył był przedemną z miejsca. Otóż ten okręt, czy to dokładał z umysłu więcej drzewa, czy znowu, jak wnosiłem z czarnego dymu, rzucano słoninę pod kocioł, dość że począł znacznie szybcej płynąć i odtąd nie mogłem ani o cal zbliżyć się do niego. Z początku wspomniana dama bezustannie obawiała się, tak, że musiałem dwa razy ponowić przyrzeczenie, iż nie myślę doganiać tamtego statku. Potem zamilkła zupełnie a ku wieczorowi — dasz pan wiarę?... przychodzi do mnie, i powiada z filuternym uśmiechem, że zapłaciłaby dziesięć dolarów, gdyby mogła minąć ów parowiec. Miałem kilka sągów smolnego drzewa, przeznaczonego na łuczywo, kazałem je rzucać pod kocioł, bo wyznam, że mnie trochę bodła ambicja, hamowana jedynie złożonem tej damie przyrzeczeniem. Zanim się zmierzchło, zrównaliśmy się z tym „wiatronogim" parowcem, i o dziesięć minut prędzej od niego przybiłem do Nowego Orleanu. (C. d. n.)

---

# Listy z Warszawy

*Aurelego Maura.*

*Lipiec.*

W tych dniach otwarto uroczyście nowe sądownictwo. Do zgromadzonej w sali polskiej katolickiej publiczności przemawiali rossyjscy prawosławni popi. Było to zaraz pierwsze zadraśnięcie uczuć narodowych. Z najwyraźniejszych zabiegów widać, że rząd pragnąłby pozyskać zaufanie polskiej ludności dla swych nowych instytucyj. Ciągle np. czytamy ogłoszenia zawiadamiające, że sprawy sądzić się będą publicznie, pod kontrolą ogółu, który powinien odwiedzać salę obrad itp. Wszystkie te jednak ogłoszenia nie budzą tu żadnej wiary. Naród tak długo i tak srodze gnębiony przyzwyczaił się do pewności, że każda ustawa jest nowym zamachem na jego życie, nowym środkiem politycznego morderstwa. *Timeo Danaos et dona ferentes.* Nigdy ta zasada literalniej się nie sprawdzała jak w naszym stosunku do Rossji. Gdyby dziś Petersburg przysłał Polsce najdobroczynniejsze rozporządzenie, drgnęłaby ona przed niemi jak przed trucizną. Ustaliło się tu niczem niewzruszone przekonanie, że co od rosyjskiego rządu pochodzi, musi być dla Polaków morderczem. W wyrazie: *rossyjski* tkwi zawsze dla polskich oczu jawny lub skryty sztylet. Nigdy międzynarodowa nienawiść nie mogła silniej się zaostrzyć. Dziesięć wieków wspólnego najharmonijniejszego życia nie wystarczyłoby do złagodzenia tej nienawiści. Za lat sto przymiotnik: *rossyjski* przestanie w naszym języku być artybutem etnograficznym a stanie się moralnym w najujemniejszem znaczeniu. Nowe sądownictwo jest tworem rossyjskim, to dosyć ażeby było niegodziwe. Jak dalece kwestja ta decyduje się *a priori*, widać z tego, że nawet prawnicy nie obrachowali, czy owa sądownicza roforma będzie dobroczynną dla kraju czy szkodliwą. Wśród kilkudziesięciu ich nie znam ani jednego, któryby umiał jasno wykazać jej prawniczą wartość. Na wszelkie pytania w tej mierze każdy odpowiada krótko: moskiewska. Zanim doświadczenie nam zagadkę wyjaśni, dziś wskazać możemy w nowozaprowadzonem sądownictwie dwie jego zarazy: rossyjski język i rossyjskich urzędników wyższych stopni. Co do pierwszego jednak punktu musimy sobie przyznać jedną zasługę. *Gazeta Szląska* słusznie przed kilku dniami zauważyła, że Rossjanie przybywający do Warszawy mimo wszelkiego oporu polonizują się. Rzeczywiście tak jest a w każdym razie nie ulega najmniejszej wątpliwości, że my się prawie wcale nie russyfikujemy. Polacy szybko uczą się języków obcych a więc i rossyjskiego, ale skutkiem potężnego oddziaływania polskiej mowy przerabiają go według jej właściwości. Już dziś jest a niedługo zupełnie się ukształci osobny w rossyjskim języku djalekt warszawski, który będzie mięszaniną polskich i moskiewskich pierwiastków z przewagą pierwszych. Przyczyną tej assymilacji jest nierówna proporcja żywiołów i ich cywilizacji. Rossjanie mają na obronę swego języka w Polsce knut, więzienie, nakaz; Polacy swoją ilość i jakość. Wprowadzenie więc rossyjskiego języka do sądów nie grozi żadnem wynarodowieniem, grozi tylko wstrętnemi uczuciami niewoli. Gdy obrońcy przed kratkami mówić będą: *maju czest predstawit' etu sprawu presnietnomu sudowi*, a z pewnością długo tak mówić będą, mowy naszej nie zrussyfikują. Są tylko dwa sposoby zrussyfikowania Polski: albo wyższą cywilizacją zmusić ją do uczenia się i używania języka tej cywilizacji, albo ją wyrżnąć. Na pierwszy środek Rossja jeszcze się nie zdobyła, na drugi krok jeszcze się nie zdecydowała. Pierwszego nigdy się nie doczekamy, drugiego może, tymczasem bądźmy spokojni o naszą narodowość. Co do nasłanych dla sądownictwa urzędników, ich charaktery wypróbują się dopiero w praktyce. Dziś wiadomo tylko, że niektórzy między niemi znani są z okrucieństw a inni z przedajności. Na tych patrząc płacz Temido w Polsce! My jesteśmy przygotowani na nową niesprawiedliwość, bo ona dla nas nie nowa.

Charakterystycznym rysem postępowania naczelników nowej sądowniczej organizacji jest nienawiść do żydów. Z wyjątkiem trzech, wszystkich innych wykreślono z listy obrońców. Ztąd straszny popłoch między dziećmi Izraela. Nie litujcie się jednak zbyt nad niemi. Większa ich część albo porobiła majątki, albo je zrobi na innych drogach spekulacji. Żyd jak kot, zrzucony zawsze pada na łapy i wdrapuje się na inną wysokość. Szkoda jedynie wielu wychowańców Szkoły Głównej i Uniwersytetu, którzy wyemancypowali się ze swych hebrajskich insytnktów i są rzeczywistymi a nie etnograficznymi tylko Polakami. Szkoda również i może największa nieszczęśliwych, którzy po długoletniej służbie pospadali z etatu i dziś są bez chleba. Strach pomyśleć o losie tych ludzi. U nas od lat kilku każda reorganizacja jest rzezią i rabunkiem. — Czem się pan trudni? — pyta przy meldunku opowiadający mi te słowa cyrkułowy urzędnik lokatora, który się do innego domu przeprowadził. — Niczem — odpowiada pytany. — Jakto niczem? — Tak jest panie, nie mam żadnego zajęcia. — Ależ wiadomo panu, że każdy musi wylegitymować się ze sposobu swego życia. — Ale wiadomo także, że nie każdemu tu wolno mieć środki do życia.—Z czegóż pan się utrzymujesz? — Byłem urzędnikiem, teraz spadłem z etatu. — A więc pan ma legitymację jako były urzędnik. — I zapisano biedaka pod tytułem „byłego urzędnika." Jest to dla niejednej setki ludzi u nas jedyny... środek utrzymania. Wyrzuciwszy ich z biur pozwalają im w cyrkułach meldować się w godności byłych urzędników i to jest całe dobrodziejstwo. A przyznać trzeba że i ono ma swoją wartość. Bo przecież mógłby rząd kazać spadłym z etatu legitymować się z rzeczywistego zajęcia pod karą wydalenia z miasta, a wtedy nie znaleźliby dla siebie ani jednego kąta na pobyt w własnej ojczyźnie. Spadnięcie z etatu weszło u nas tak dalece w zwyczaj, że nawet stało się tytułem użytecznego zastosowania. Jeden z moich znajomych skończywszy warszawski uniwersytet, jako Polak i katolik nie mógł dostać żadnego miejsca urzędowego. Pisywał więc artykuły do gazet i z tego żył. Mieszkaliśmy razem gdy wszedł policyjny rewirowy z zapytaniem do niego, czem się trudni? Jestem literat. — Pana zameldowano Jerzy B..... rzecze policjant. — Bo tak się nazywam — powiada mój kolega — i jestem literatem... To nas nie obchodzi, jakie pan ma przydomki, tylko z czego się utrzymuje? Jerzy spostrzegł, że napróżnoby stróżowi publicznego bezpieczeństwa wykładał, że nazwa literat nie jest przydomkiem, i że reprezentuje jakąś pieniężną wartość; pomyślawszy więc chwilę, rzekł ku wielkiemu mojemu zdziwieniu: Jestem urzędnikiem spadłym z etatu i z tego się utrzymuję. Czemuż pan tego odrazu nie powiedział? — zamruczał rewirowy, a zapisawszy sobie w książeczce „sposób utrzymania" swego towarzysza, wyszedł. W naszem położeniu wszystko się przyda i z wszystkiego korzystać trzeba. Ileż razy mniej dowcipni niż mój przyjaciel muszą się nawłóczyć po cyrkułach, gdy im nie przyszło na myśl podać się za urzędników spadłych z etatu! Zaznaczyłem w przeszłym, liście, że nowinami porządku dziennego u nas są zawsze nowe ustawy i pisma. Od czasu tego listu już kilka pism się narodziło, a kilka zapowiedziano. Tocząca się obecnie wojna, pobudziła prasę polityczną do wydawania w dnie świąteczne dodatków, zawierających telegramy. Nie myślcie jednak, ażeby te dodatki były gratyfikacją dla prenumeratorów. Z wyjątkiem *Gazety Warszawskiej*, która je dołącza bezpłatnie, reszta każe sobie płacić i płacić drogo. Ponieważ zaś serbsko-turecka przytykanina nie dostarcza żadnych decydujących i zaciekawiających wypadków, niedzielne zatem doniesienia nie wynagradzają swych nabywców nawet drażniącą plotką lub prawdą. Jest to więc tylko prosta wydawnicza spekulacja, która czas jakiś przynosić będzie groszaki do kieszeni wydawców, ale wkrótce znuży publiczność i wpłynie na obniżkę ceny makulatury, zanim nie zginie w usługach pieprzu i masła. Taki los czeka niezawodnie *Nowiny niedzielne*, dodatek do *Wieku*, wyróżniający się od innych dodatków tem, że oprócz telegramów mieści w sobie jeszcze inne artykuły, i posiada program samoistnego organu.

*

Aż do bieżącego roku ministerjum spraw wewnętrznych udzielało pozwolenia na nowe pisma tylko nielicznym wybrańcom, asekurującym swe prośby wpływowemi stosunkami lub poparciem pieniężnem. Otrzymanie koncesji na dziennik było rzeczą tak trudną i kosztowną, że np. były redaktor *Wieku* H. Lewestam arkusz papieru na którym mu zarząd prasy koncesję tę udzielił, cenił na tysiące rubli. Dziś rzeczy znacznie się zmieniły. Ministerjum spostrzegłszy, że przy małem czytelnictwie i zaludnieniu liczebny wzrost dziennikarstwa ani tegoż wartości ani wpływów nie podnosi, owszem rozbijając prenumeratę na drobniejsze grupy i wyczerpując szczupły zastęp współpracowników, osłabia materjalną i umysłową siłę prasy, zaczęło udzielać pozwolenia dość szczodrze. Ponieważ zaś w społeczeństwie nie wygasła jeszcze pamięć trudności i drogocenności tych pozwoleń, więc dziś kto tylko niema zajęcia (a takich jest wielu) a ma piśmienne materjały, śle do Petersburga podanie, uzyskuje przychylną rezolucję, ogłasza prospekt i zaczyna wydawać pismo. Na takiej drodze powstały *Nowiny niedzielne*, *Antrakt*, *Biesiada literacka*, wreszcie zapowiedziany *Tygodnik naukowy*, *Tygodnik powszechny*, *Gazeta muzyczna i Goniec teatralny*. Całe bezpieczeństwo tych wydawnictw spoczywa w opiekujących się niemi kapitałach. O ile te do utrzymania się w walce o byt przemogą, o tyle trwałem będzie istnienie, bo dziś prenumeratorów mogących pokryć długi tych dziennikarskich akcji jeszcze u nas nie ma. Bezwątpienia dużo na szali zwycięstwa waży wewnętrzna wartość pism, ale na nieszczęście wszystkie nowo-narodzone nie przewyższają w tym względzie starych i nie kuszą więc bynajmniej publiczności do opuszczenia ostatnich. Czem będzie *Goniec teatralny* lub *Tygodnik naukowy* nie wiemy, ale wiemy czem są *Nowiny niedzielne* lub *Antrakt*. Weźcie telegramy z każdej niedzieli, dodajcie do nich wiadomości z giełdy i handlu, przyprawcie tę ubogą mieszaninę jakąś belletrystyczną wodą a otrzymacie pismo, któremu się zdaje, że zajęło pozycję wakującą, że zdobyło sobie rację bytu, że jest potrzebne, że jego śmierć pozostawiłaby niczem niezałataną dziurę w świecie, słowem otrzymacie *Nowiny niedzielne*. Co jest *Antrakt?* Przedewszystkiem utrapienie dla tych, którzy by go krótko określić chcieli. Bo jak określić to, co się znajduje w głowie plotkarki lub reportera? Tu sprawozdanieteat ralne, przygoda pana X lub pani Y, sposób sprawdzania dobroci mleka anons o wyjeździe aktorki, apostrofa do świeżo wydanej książki, anegdota tłumaczona z *Presse* lub *Figara*, kłopoty żon sułtańskich, nauka moralna, kilka katechizmowych napomnień itd. itd. — oto skład *Antraktu*. Pragnie być lekkim, jest takim aż do zbytku, pragnie być dowcipnym, nie jest — aż do ubóstwa, pragnie być humorystycznym, ale rozśmiesza tylko swoją sygnaturą, w której zdolny (zwłaszcza kiedyś) fejletonista A. Niewiarowski figuruje jako *wydawca*, a niepiśmienny (w literackim znaczeniu) fotograf Mieczkowski — jako *redaktor*. Klucz do tajemnicy tego przestawienia spoczywa w stosunkach tych panów, których odsłaniać nie mam prawa i nie chcę.

(D. n.)

## Myśli o najnowszym kierunku w historji

przez

Bolesława Czerwieńskiego.

*(Ciąg dalszy.)*

III.

Powszechnie utrzymują uczeni, że człowiek pierwotny żywił się mięsem zabitych zwierząt. Nie wytrzymuje to zdanie krytyki, raz z powodu, że małpa najbardziej pod względem budowy zbliżona do człowieka żywi się owocami, a powtóre ponieważ w takim razie musielibyśmy przyjąć, że stan łowiecki był najniższym stopniem rozwoju człowieka, a wiemy, że z łowiectwem połączona jest już pewnego rodzaju, stosunkowo dość wysoka cywilizacja, której w praczłowieku konsekwentnie przypuścić nie możemy. Człowiek z natury swojej jest leniwy; wszelkiego rodzaju praca jest trudem, który człowiek podejmuje tylko z konieczności — praca jest tylko środkiem do dopięcia pewnego celu, a nigdy celem. Na czem polega cała cywilizacja, jeżeli nie na pracy? Człowiek w tej chwili, gdy zaczął pracować, zdobył już w połowie cywilizację, zaczął bowiem już dążyć do pewnego aczkolwiek bardzo bliskiego celu, a doszedłszy do niego logiczną konsekwencją faktów, musiał sobie zakreślić nowy cel swej pracy. W ten sposób cel ten, który był z początku bardzo bliski i czysto materjalnej natury, zaczął się od niego coraz bardziej oddalać i stawać duchowym. Człowiek, który z początku pracował tylko w celu zaspokojenia najbliższych cielesnych potrzeb, w przeciągu wieków zaczął rozmyślać nad swym początkiem i przeznaczeniem wszechrzeczy; z początku pracował tylko dla siebie, a w końcu zaczął rozmyślać nad ludzkością i pracował nawet dla przyszłych pokoleń. Cóż jednak dało popęd do nienawidzonej przez człowieka pracy? Samolubstwo, najpotężniejszy ze wszystkich instynktów. Jeżeli nawet przypuścimy, że cywilizacja zrodziła się z wyższego natchnienia, czyli mówiąc utartym wyrazem z objawienia (przeciw czemu zresztą nie występujemy), to i w takim razie natchnienie owo objawiło się w samolubstwie i uczyniło je najważniejszym, a początkowo jedynym motorem cywilizacji. W duszy człowieka spoczywała iskra boska, a za środek objawienia się wzięła naturę człowieka. Każde indywiduum dąży do zachowania się: konserwatyzm jest wrodzonym naturze w przeciwieństwie do ludzkiego ducha, który jest jedynym rewolucjonistą na świecie. Każde zwierzę dąży do zachowania swego indywiduum i rodzaju, niszcząc jeżeli tego potrzeba, przeszkadzające mu innego rodzaju stworzenia, stosuje się to i do roślin, a nawet ciała nieorganiczne za pomocą ciężaru dążą do zachowania swego pierwotnego położenia.

Człowieka do pracy popchnęły zewnętrzne okoliczności, a jedną z pierwszych było niebezpieczeństwo przed dzikiemi zwierzętami, pożerającemi i niszczącemi jego pożywienie i zagrażającemi jego zdrowiu i życiu. Ażeby się od nich ochronić, potrzeba było walczyć. Oto pierwsze zastosowanie „walki o byt" do cywilizacji. Pierwszy cywilizowany człowiek, jeżeli go się tak nazwać godzi, był łowcem. Wojowniczemi jego narzędziami były wyłamane gałęzie drzew i kamienie, któremi ciskał na przeciwników*).

Wkrótce człowiek zaczął myśleć o trwalszej broni i uczynił ją z kamienia posiłkując się zapewne tarciem jednego kamienia o drugi. W tym pierwiastkowym okresie znanym pod nazwą starszego okresu kamiennego, człowiek nie wiele wzniósł się nad stan, w jakim pojawił się na ziemi. Życie jego upływało wśród walk z dzikiemi zwierzętami, których surowe mięso pożerał, nie znał ognia, uprawy zboża, ani użytku metalów; zdaje się, że był i ludożercą. Czy żył w małych grupach, czy też gromadnie, powiedzieć się nie da.

W tem miejscu roztrząsnąć nam wypada bardzo trudną, a dla historji cywilizacji zasadniczą kwestję, mianowicie: czy familja była przed cywilizacją, czy też przeciwnie, czy familja jest tylko jej wypływem. Zgodźmy się naprzód na pojęcie familji. Pod wyrazem tym rozumiemy nie tylko zbiorowisko pewnej liczby indywiduów połączonych związkiem krwi*), ale także i duchowym związkiem miłości, a następnie prawnym. Miłość macierzyńską i ojcowską, a szczególniej tę pierwszą posiadają wszystkie zwierzęta; jest to ich wrodzonym instynktem, koniecznym, bez którego rozmnażanie byłoby bezpożytecznem, bo wychowanie niemożliwem. Wysiadywanie jaj, a następnie karmienie młodych nie sprawia ptakowi żadnej fizycznej przyjemności, owszem przynosi trudy, a jednak ptaki po kilka tygodni siedzą na jajach i pielęgnują młode z delikatną pieczołowitością. Gdy samica siedzi na jajach, samiec ugania się za pożywieniem dla niej, a gdy się młode wykłują, oboje dnie całe się męczą, by nakarmić nagie pisklęta. Przypatrzywszy się tym ptakom, albo któremukolwiek z zwierząt, jakże można twierdzić, jak to czynią materjaliści, że człowiek pierwotny żył bez familji, i że ona jest dopiero wypływem stosunków prawnych społeczeństwa? Zdawałoby się, że do takiego wniosku logicznie dojść nie można, a jednak dochodzi do niego między innymi Hellwald**): die Familie ist aus der Gesellschaft hervorgegangen, nicht umgekehrt. Dochodzi-on do tego z mylnego założenia uważając za familję tylko familję prawną, tj. polegającą na prawnem uregulowaniu stosunków między obiema płciami. Zanim to uregulowanie nastąpiło, musiała przecież istnieć familja, bo w przeciwnym razie nie byłoby co regulować: prawo tylko określa istniejący już stan, modyfikuje go, ale nowego nigdy nie tworzy: prawo jest wynikiem społeczeństwa, a nie przeciwnie. Hellwald uważając familję za wypływ społeczeństwa utrzymuje, że powstała ona dopiero wtedy, gdy rolnictwo zbliżyło ludzi do siebie i zniewoliło ich do zajęcia stałych siedzib. Wobec tego dziwnym byłby fakt, że familja w najwyższym swoim rozkwicie, jako patrjarchalizm objawiła się właśnie nie między narodem rolniczym, ale pasterskim, a jak to zaraz zobaczymy, pasterstwo jest niższym cywilizacyjnym stanem od rolnictwa. Reasumując to, co powiedzieliśmy, twier-

---

*) Jakkolwiek najstarsze używane przez człowieka narzędzia odnalezione w ziemi, są z kamienia, nie ulega prawie wątpliwości, iż t. zw. „wiek kamienia" poprzedzać musiał wiek drzewa. Drzewo będąc miękkim materjałem daje się z łatwością obrabiać kamieniem, a gałąź ogołocona z liści bez żadnego nawet obrobienia może już za broń służyć. Między tegoczesnymi dzikimi, którzy według teorji Quineta reprezentować powinni stan rozwoju praczłowieka, najważniejszą bronią jest prosta pałka z twardego drzewa.

*) Tylko ojciec, matka i dzieci tworzą pierwotną familję, pojęcie krewnych jest dopiero wynikiem prawnych stosunków społeczeństwa, czego dowodzi to, że w różnych prawodawstwach pojęcia te są różne, szczególniej co do krewnych dalszych stopni i powinowatych.

**) Culturgeschichte str. 33.

dzimy, że familja powstała równocześnie z ludzkością i cywilizacją. Nie trzeba jednak tego rozumieć w ten sposób, ażeby ona była taką samą jak teraz: określić bliżej węzłów sprzęgających pierwotną familję już z tego powodu niepodobna, ponieważ i obecnie przedstawia się ona u różnych narodów w rozmaitych formach. Drugą, ważniejszą jeszcze od poprzedniej kwestją, jest oznaczenie początku religji, religje bowiem nie tylko są najważniejszą różnicą między człowiekiem a zwierzęciem, ale zarazem są najpotężniejszymi motorami cywilizacji. Powszechnie znany jest, niezbity dotychczas pewnik, że na całej ziemi nie ma ani jednego narodu, któryby był zupełnie pozbawiony pojęć religijnych, najdzikszy nawet człowiek ma swego fetysza, któremu cześć oddaje. Nie zaprzeczają temu materjaliści, bo nie mogą, posiłkując się jednak zdaniem, że żaden z istniejących obecnie dzikich ludów nie stoi na takim niskim stopniu jak praczłowiek, i że każdy jest już stosunkowo ucywilizowany, twierdzą, że człowiek pierwotny będąc niczem innem jak tylko zwierzęciem, nie posiadał też żadnej religji i dopiero z czasem sam ją sobie wytworzył. Zanim powiemy, w jaki sposób wytłumaczają oni powstanie religji, musimy nadmienić, że pod religją rozumieją oni cześć jakiejś siły nie określając jej bliżej, my zaś religję nazywamy wiarą w Boga, nie wchodząc w to jak sobie który lud tego Boga przedstawia. Wiara w Boga, czy to duchowego, czy materjalnego, jest właściwą istotą religji, wszystkie zaś inne pojęcia religijne z niej wypływają. Religja, podług zdania materjalistów, powstała w sposób naturalny po powstaniu społeczeństw. Uszanowanie okazywane naczelnikom rodziny i gmin jest jej źródłem. Uszanowanie to dla wieku, siły i doświadczenia, które okazywano naczelnikowi za życia, pozostało w poddanych jego i po jego śmierci. Stąd powstała cześć zwłok ludzkich i grobów, w które je złożono, czego wiecznym pomnikiem są egipskie piramidy i mumje. Drugim rodzajem pierwotnej religji jest cześć zwierząt, powstały w skutek ich srogości lub pożyteczności, oba zaś te rodzaje, jakoteż cześć rozmaitych żywotnych i nieżywotnych przedmiotów noszą ogólne miano fetyszyzmu. Następnie, a właściwie równocześnie zaczęli ludzie uwielbiać imponujące zjawiska natury, jako to: pioruny, silne wiatry, trzęsienia ziemi, jako też słońce, gwiazdy i ziemskie żywioły, jak wodę, ziemię, ogień i powietrze. Z tych to początków religij powstały inne nowe, coraz to doskonalsze, aż nareszcie ludzkość zdolną się stała do przyjęcia czysto duchowych religij, jak np. chrystjanizmu lub buddaizmu. Na pierwszy rzut oka wytłumaczenie to powstania religji uderza swoją prostotą i naturalnością i zdaje się nie pozostawiać nic do życzenia, upada jednak, gdy się nad niem bliżej zastanowimy, albowiem nie wyjaśnia, w jaki sposób przyszli ludzie do pojęcia duchowego Boga, będącego istotą nie cielesną i zbiorowiskiem wszystkich najlepszych nie-fizycznych przymiotów.

Materjaliści nauczają, że człowiek odbiera wrażenia ze świata zewnętrznego za pomocą zmysłów (co nie może ulegać zaprzeczeniu) i że w skutek tego może mieć tylko pojęcie o tem, co na nim przez zmysły wrażenie wywarło, a więc tylko o rzeczach materjalnych. Wypływa z tego w zastosowaniu do religji, że ludzie powinni pozostać na zawsze zwolennikami fetyszyzmu, bo w jakiż sposób zdołaliby się wznieść do pojęcia duchowego Boga, skoro ten Bóg jako nie materjalny nie mógł na ich zmysły żadnego wrażenia wywierać, aby się dać poznać? Jeżeliby duch człowieka nie mógł nic innego pojąć jak tylko to, co na nim wrażenie przez zmysły wywiera, natenczas znałby tylko fakta, a nie mógłby nigdy pojąć przyczyny, która jest zawsze siłą. Widzimy więc, że pojęcie nie materjalnego Boga wywraca z gruntu materjalistyczną teorję powstania religji, bo ludzie doszli do takich pojęć, do których według niej dojść nie byli powinni. Jedynym na pozór racjonalnym zarzutem przeciw moim wywodom mógłby być następujący: „Najdoskonalsze religje wyznają jedynego, niematerjalnego Boga, ale ludzie istoty jego nie pojmują i określić nie zdołają. Np. religja chrześcijańska określa Boga w ten sposób: Bóg jest szczerym duchem, wszystko wiedzącym, najdobrotliwszym itd. Definicja ta nie określa istoty Boga, albowiem na zapytanie, co to jest duch szczery, otrzymamy tylko nic nieznaczącą negatywną definicją: jest to istota nie materjalna.“ Logiczny ten argument można łatwo zbić tem, że chociaż człowiek nie może określić istoty ducha, to jednak samo już usiłowanie pojęcia istoty, leżącej po za obrębem natury dowodzi: 1o że ta istota istnieje, albowiem nikt mi nie przytoczy przykładu, żeby ktokolwiek nawet obłąkany, dążył do pojęcia tego, co nie istniało, nie istnieje, lub nie będzie istnieć, a 2o że oprócz wrażeń zewnętrznych, działających przez zmysły na ustrój nerwowy człowieka i pobudzających go do myślenia i pojmowania, musi być jeszcze inna siła, za pomocą której wyrabiają się w nim abstrakcje*). Ta druga siła musi mu być wrodzoną, bo z wrażeń zewnętrznych się wyrodzić nie mogła, tak samo jak ze czcionek drukarskich nie myśląc nie utworzysz myśli, lub z myśli nie utworzysz posągu, jeżeli nie masz kamienia i dłuta, a skoro przyjmiemy, że ta siła jest człowiekowi wrodzoną, czyli mówiąc utartym wyrazem, że człowiek posiada idee wrodzone, natenczas przyjąć musimy, że i w głębi duszy pierwotnego człowieka idee te spoczywały i że zaczęły się objawiać już w pierwszej chwili jego istnienia. Pierwotny człowiek miał więc religję, a właściwie pewne jej poczucie. Czy objawiał on ją na zewnątrz i w jakiej formie, to nas bynajmniej nie obchodzi, zdaje się jednak, że musiała ona być pierwiastkowo najniższym stopniem fetyszyzmu, o którym obecnie wyobrażenia mieć nie możemy. Zastanowiliśmy się nieco może za długo nad kwestją powstania familji i religji, sądzimy jednak, że było to tu najstosowniejsze do tego miejsce i uważaliśmy to za konieczne dla zrozumienia następnych naszych wywodów.

(C. d. n.)

*) Nie możemy przenieść na sobie, aby w tem miejscu nie rozprawić się z fanatycznymi materjalistami ich własną bronią w kwestji zaprzeczanej przez nich istności Boga. Powiadacie: „Nie ma Boga! za pomocą zmysłów pojąć jego istoty nie można. Nikt go nie widział, nie słyszał, nie dotykał, a więc go nie ma. Kto nam powie, co to jest Bog? — Jest to tylko pojęcie, ale nic istniejącego realnie!“ Odrzuciwszy Boga trzeba było na jego miejsce coś przecież postawić, co by światem kierowało. Wynaleźli więc siłę. Pozwólcie, że argumenty wasze używane przeciw wyznawcom istności Boga obrócę, przeciw wam i powiem: „Nie ma siły! — za pomocą zmysłów pojąć jej istoty nie można. Nikt jej nie widział, nie słyszał, nie dotykał, a więc jej nie ma. (Czuć można tylko skutki siły, a nie ją samą.) Jest to tylko pojęcie, a nic istniejącego realnie!“ Cóż więc jest nowego w teorji materjalistów? — Oto nic więcej, jak tylko, że zamiast słowa „Bóg“ użyli wyrazu „siła,“ i że odjęli tej „sile“ własność rozumu. A więc musi tą siłą kierować jakieś stałe prawo, w przeciwnym bowiem razie świat nie mógłby był powstać, ani istnieć obecnie. Są teraz dwie alternatywy: Albo to prawo jest wypływem samej siły, a w takim razie siła ta, tworząca rozumne prawa, musi być sama rozumną, a więc Bogiem, albo też prawo to zostało jej nadane, a w takim razie musiało być jej nadane przez wszechmocną, najwyższą istotę — Boga. Zdaje nam się, że to logiczne. (P. A.)

---

# Wystawa sztuk pięknych w Paryżu

## w roku 1876.

*(Ciąg dalszy).*

Dubois Paweł: „Portret moich dzieci.“ Jak Falguière tak i Dubois dwom się równocześnie oddaje sztukom, rzeźbie i malarstwu. Może być że się bardzo mylimy, ale myślelibyśmy że to pewne za sobą pociąga skutki i pomyślnie wpływając na dłuto, któremu pewnej w wykonaniu dodaje gibkości, mniej dobrze oddziaływa na pęzel, który mimowolnie coś z kamiennej przybiera sztywności. Być może, że to uprzedzenie, ale zdaje się nam, iż „dzieci pana Dubois“ mają w sobie coś z tych marmurowych aniołków jakich pełno w każdym kościele. Jedyny też to zarzut, pod każdym innym względem malowidło na wszelkie zasługuje pochwały.

Godny widzenia portret „Ferdynanda de Lesseps“ (twórcy kanału Suezkiego) pęzla Edwarda Bertier.

Aż dwa portrety „Sary Bernhardt (artystki teatru francuskiego), jeden pędzla p. Clairin, drugi pani Ludwiki Abbema. Nie wiem, któremu oddać pierwszeństwo. Na pierwszym pani Bernhardt biało odziana wypręża się na kanapie. Na drugim w czarnym stroju sztywna jak drut stoi przy stoliku. Jak jednemu tak drugiemu nie brak zapewne talentu, lecz jak jeden tak drugi według nas najwięcej uderzają pretensją. Bardzo udatny portret p. Vallon, byłego ministra oświaty, pędzla Bastien-Lepage. Śliczna, orjentalnym typem wysoce nacechowana głowa jakiejś pani Korakéhia, pęzla tego samego Henner, z nazwiskiem którego spotkaliście się przed chwilą w grupie malarzy religijnych.

Portret „Emanuela Arago“ pędzla zięcia jego, znanego wam także Benjamina Constant lepszy według nas przynajmniej, niż historyczne malowidła tegoż artysty.

Nie brzydki portret kobiecy „pani D.“ pęzla Viberta.

Dwa zupełnie chybione portrety, jeden mężczyzny, drugi kobiety, pędzla Pawła Boudry, dekoratora Wielkiej Opery. Jeśli tu o nich wspominamy, to ze względu na głośne imię autora, który wolałby zasnąć na zdobytych już laurach, niźli się za nowemi w tak nieudolny uganiać sposób. I dużo, dużo jeszcze rzeczy, nie mniej może jak wymienione na publiczną zasługujących uwagę.

Lecz uwaga polskich czytelników z prawa należy się utworom rodaków, których dwudziestu z górą tegoroczną zasiliło wystawę. Do utworów tych przejść czas wielki, jeśli chcemy pozostać w granicach zwykłego dziennikarskiego sprawozdania i całotomowej nie pisać rozprawy. Układając je alfabetycznym porządkiem według nazwisk autorów zaczynamy:

Alchimowicz Kazimierz z Wilna. Uczeń Gersona i Monachijskiej Akademji Sztuk Pięknych: „Lezdejko z córką na ruinach świątyni Perkuna“. Zapewne, iż niebo Litewskie nie odznacza się wielką promiennością i barwy przyrody stron tamtych nie mają tej wyrazistości, jaka cechuje naprzykład niebo Neapolu, ale to jeszcze nie racja, by tam wszystko miało wyglądać tak blado, tak przejrzysto. Pan Alchimowicz jakiemiś bardzo rozwodnionemi malował kolorami. Lezdejko jego nie ma krwi pod skórą, a cały obraz, przy sąsiadach szczególniej, wygląda nie jak olejne malowidło, lecz jak wypełzła akwarella. Szkoda, bo obraz jego skąd inąd dużo ma gracji, poetycznego wdzięku i żyjąc mógłby na ogólne zarobić uznanie.

Bakałowicz Władysław: „Wyjazd“. Nie chcielibyśmy dosłownie powtarzać tego, cośmy o artyście tym mówili w roku zeszłym. P. Bakałowicz

doszedł już do pewnej perfekcji w malowaniu tych drobnych figurek, miniaturkowych scen, mikroskopicznych rzeczy i upiera się powtarzać je bez końca. Czasby już na szersze puścić się pole.

Brochocki Walery z Włocławka: Dwa obrazki. „Przedmieście małego Galicyjskiego miasteczka“ i „Wnętrze boru“. Niczego (?) oto wszystko co o nich powiedzieć można.

Cetner Aleksander Albert ze Lwowa, uczeń Pana Cabanet: „Ottokar król Czeski, uniża się przed Cesarzem Rudolfem Habsburgskim“. Wierno austrjacki dobór przedmiotu. Woleliśmy przeszłoroczną „Salambo“. Malarstwo historyczne nie jest to rzecz łatwa, to coś, jakby dramat w poezji, i niejednemu, co dziesięć udatnych napisał poemacików, lub oddzielnie dziesięć udatnych narysował postaci, na tem wielkiem polu noga się łacno powinąć może. Ugrupować kilka czy kilkanaście figur, dać każdej właściwe jej miejsce, wystrzedz się, by jedna drugiej nie zaćmiewała, by jedna ku drugiej w fałszywym nie stała stosunku, pilnować przeciwnie, by uwydatniały siebie nawzajem, a przyczyniały się, zwłaszcza każda w swojej mierze, do uwydatnienia fundamentalnej myśli utworu, to sztuka nie lada i nie radziłbym nikomu brać się do niej dłonią niedoświadczoną. Niech nam pan Cetner wybaczy, ale on to uczynił. Postacie jego źle ugrupowane. Ottokar zanadto uniża się przed Habsburgiem. Słyszałem w tłumie widzów głosy pytające: „Czy nagniotki mu wycina?“ Sąd to pospólstwa, ale „Vox populi, vox Dei“ i co on dowodzi? To, iż efekt ogólny obrazu chybiony. Tłum nie zna zapewne tajników sztuki i decydować o nich nie ma prawa. Ale w prawie jest decydowania o ogólnem wrażeniu, dostępnem dla wszystkich z wyjątkiem chyba idjotów. Otóż sąd tłumu niepomyślnie wypadł dla p. Cetnera. Niech nam uwierzy, niech go posłucha i wróci do oddzielnych postaci w rysowaniu których powinien ćwiczyć się jeszcze długo, lat kilka, zanim na nową odważy się próbę. Talentu mu nie brak. Ma zmysł estetyczny, pojęcie kolorów, wdzięk linji, niestaje mu tylko doświadczenia a to się nabywa.

Chełmoński Józef z Warszawy, uczeń Gersona i Gierymskiego: Dwa obrazki z Ukraińskiej zimy. Bez żadnej wątpliwości czoło tegorocznych polskich przesyłek. Prace pełne oryginalności, życia, charakteru. Dobrze wypadło, dość trudne do oddania ścieranie się bieli śniegowej z ciemniejszą barwą, wystających z pod niej dachów i ścian chałup wieśniaczych. U innych malarzy traktujących te same przedmioty, wytwarza ono lub brudne plamy, lub za gwałtowną sprzeczność kolorów, niemile rażącą oko. P. Chełmoński umiał wywikłać się z tej trudności, nie mijając się pomimo tego z prawdą. Ton ogólny nieba schwycony z wielką trafnością. Drobne figurki ożywiające pejzaż bardzo udatne. Dając szczere brawo artyście, jesteśmy tylko echem ogólnych sądów tutejszej publiczności.

Gąsowski Artur, uczeń Bussona: Dwa pejzaże z okolic Bordeaux, Casteljaloux na południu Francji. Ciągły, stały postęp widoczny w utworach tego artysty. Chwaliliśmy pejzaż jego przeszłoroczny. Otóż tegoroczne daleko go zostawiają za sobą. Jakkolwiek wyznawca Corot'a, młody artysta umiał jednak zatrzymać się w danym punkcie i nie poszedł za mistrzem za daleko. Że dobrze uczynił, przekona się z łatwością spoglądając na produkcje kolegów swych, młodych pejzażystów, gęsto po wszystkich rozwieszone ścianach i słuchając tego co o nich ogólna mówi opinja. Cóż jeszcze dodać zdołamy? Opisywać pejzaż nie łatwo. Gaj, łąka, parę sztuk pasącego się na niej bydełka. Zabudowania folwarczne w głębi. Zachodzące słońce za borem. Co z tego się dowiecie? Nic zgoła. Wszystko to są rzeczy powtórzone nie wiem już wiele miljonów razy. Cóż z tego? Wiecznie to samo i wiecznie co innego. Rzecz bardzo dobrze znaną oddać inaczej, nacechować właściwym sobie wdziękiem, zadanie pejzażysty. Wywiązał się zeń p. Gąsowski nader przyzwoicie, to mu przyznać muszą najgorzej uprzedzeni sędziowie.

Gerson Wojciech z Warszawy, uczeń tamecznej szkoły Sztuk Pięknych i Cogniet'a: „Kopernik w Rzymie wykłada swój systemat planetarny przed Zgromadzeniem owoczesnych wielkości“. Bardzo zajmujące malowidło. Zapytalibyśmy autora, dla czego główna postać jego kompozycji zostaje jak gdyby w cieniu, gdy pełne światło pada na podrzędne i mniej znaczące twarze słuchaczów? Coby on powiedział o tragedji lub poemacie pod tytułem „Kopernik“ w których wielki ów jenjusz, epizodyczną tylko odgrywał by rolę, pierwsze miejsce zostawiając komparsan? Czyż bardzo się mylimy przypuszczając iż prawa układu są te same we wszystkich sztukach pięknych, tak w malarstwie, jak w poezji, lub w muzyce? Zresztą jakeśmy rzekli wyżej, bardzo zajmujące malowidło. Niektóre głowy, jak naprzykład kardynała Rembo lub Buanaroti'ego wyraziste nad podziw. Akcessorja, kostiumy wypracowane starannie. Postacie dobrze ugrupowane i gdyby nie te światła jakoś niezręcznie według nas kierowane, obraz nie zostawiałby nic do życzenia.

Kozakiewicz Antoni z Krakowa, uczeń tamecznej szkoły i Wiedeńskiej Akademji Sztuk Pięknych: „Przed bitwą“ Epizod z czasów konfederacji Barskiej. Co się wówczas dziać musiało po szlacheckich dworkach i dworach! Na podwórzu, przed domem, cała poczciwa rodzina, wojennym oddaje się przyborom. Ten ostrzy szable, ten kuje kosy tamten czyści rusznice. Mała nawet dziewczynka, wnuczka zapewne wspartego na szczudłach gospodarza, nie chce zostać bezczynną i trzymając w ręku naczynie z wodą, zlewa nią brusek ostrzący. Młoda niewiasta szlocha u drzwi dworku. Przez otwarte w głębi stajenne wrota, widać pachołka wprowadzającego dwa osiodłane wierzchowce. Niebrzydki, ruchliwy obrazek, lepiej pomyślany, niż wykonany. Ze wszystkich postaci najbardziej wyrazistą jest twarz pachołka wprowadzającego konie. Reszta to konwencjonalne figurki, mniej więcej na jedną robione miarę, jakby z jednego kopjowane modelu. Widzieliśmy takich a może i lepszych krocie i nie utkwiły nam w pamięci. Koloryt nie zły. W sumie ani tryumf ani przegrana a coś pośrodku.

Łaszczyński Bolesław, uczeń Monachijskiej Akademji Sztuk Pięknych: „Ostatnie chwile Szopena“. Co to, to według nas i niestety według publiki tutejszej absolutna porażka. Niewielkie, szare płótno na którem kilkanaście czarnych figurek ugrupowanych około łóżka, rozmaite przybiera pozy. Ta płacze w kącie, ta ręce załamuje, ta gra na fortepianie. Na łóżku blada postać konającego artysty. Wszystko razem bez wyrazu, bez życia, miernie pomyślane, mierniej jeszcze wykonane, i miast smętnego wrażenia jakby być powinno, wręcz przeciwne wywołuje. Na co, po co to było przysyłać!

Łukaszewski Kazimierz z Mussidan (Dordogne), syn zapewne emigranta, uczeń panów Pils i Lemariée: „Owoce“. Miernota.

Maszyński Juljan Piotr z Warszawy, uczeń Monachijskiej Akademji i Gersona: „Pokuta w Polsce w XVI wieku“. Obnażonego do pasa szlachcica dwóch mnichów ćwiczy z tyłu ogórkami. Dziwaczny pomysł malować coś podobnego. Ładne to pojęcie daje Zachodowi o cywilizacji naszej w XVI wieku, w wieku właśnie, który wydał Kopernika. Fakt historyczny, ktoś powie. Cóż z tego? Dużo jest faktów historycznych z wywlekaniem których na pokaz obcym spieszyć się nie godzi. Faktem historycznym jest także, że praojcowie nasi upijali się czasem. Kiedyż p. Maszyński pijanego i tarzającego się w błocie pokaże nam szlachcica? Kiedyż p. Maszyński przyszle do Paryża obraz przedstawiający szlachcica jak bizunem chłopków okłada gromadę? Toż także fakt historyczny. Wykonanie mierne.

Mikulska Izydora z Paryża, uczennica panów Cogniet i Chaplin: Portret „Pani E. G. de R.“ Dopóki panna Mikulska niewolniczo naśladuje mistrza swego p. Chaplin, dopóty pędzel jej nie arcydzieła, ale przyzwoite wytwarza rzeczy. Ilekroć zaś chce własnemi bujać skrzydłami, tylekroć........ Wrócić jej do naśladowań.

Norblin Sebastjan z Warszawy, Uczeń Regnaulta i Blondela: „Zniszczenie Herkulanum w 79 roku“. Zamilczmy z uszanowaniem.

Piątkowski Jan z Kijowa, Uczeń Wagnera i Pillotego Dwa obrazy: „Kobieta z papugą“ i „Bachantka“. Bardzo udatne prace, szczególniej pierwsza. Pędzel śmiały; wykonanie staranne, ładne poczucie kolorów. Poza „Bachantki“ może nieco za sztywna.

Przepiórski Łucjan z Wilna: „Kwadratowy salon w Luwrze“. Co jest niezbędnym warunkiem powodzenia w produkcjach tego rodzaju, przedstawiających świat absolutnie martwy? Widzi nam się że dokładność wykonania. Otóż tu by się zdało nieco tej zganionej przez nas gdzieindziej, chińskiej precyzji. Niestaje jej, a przynajmniej nie dość jej u p. Przepiórskiego.

Roszczewski Henryk z Chezal-Benoit (Cher) uczeń p. Maillart. Portret mężczyzny. Niczego.

Sokołowski Bolesław z Paryża. Także portret mężczyzny i jeszcze bardziej niczego.

Suchodolski Zdzisław z Rzymu, uczeń Gleyra: „Pogrzeb mnicha“. Po krajobrazach Chełmońskiego i po „Koperniku“ Gersona to bezwątpienia najudatniejsze dzieło polskiej „Wystawy“. Pochwalić w niem, szczerze, można dużo rzeczy, do zganienia nie ma nic prawie. Koloryt może i światło, lecz rozstrzygnienie tych wątpliwości kompetentniejszemu zostawiamy sądowi.

Szermentowski Józef z Warszawy, uczeń tamecznej szkoły Sztuk pięknych: „Krowy na łące“. By sądzić produkcje tego rodzaju, potrzeba pewnej specjalnej znajomości rzeczy, do której, się nie poczuwamy. Myśl w nich jest niczem, wszystkiem wykonanie. Widywaliśmy zachwalone w tym rodzaju prace pani Róży Bonheur i nie byliśmy w stanie nic o nich powiedzieć. Tu więc tem bardziej. Ot i poczet dziewiętnastu rodaków. Jak widzicie wyrzeczone ogólnikowe z góry o nim zdanie nie było dalekiem od ścisłej prawdy. Kilka ładnych talentów, kilka dobrze obiecujących nadziei, nic coby nas absolutnie poniżało w opinji cudzoziemców, lecz nic także coby nas podwyższało nad miarę. Wolelibyśmy, powtarzamy, jednego Matejkę. (D. n.)

## BIBLIOGRAFJA.

### Polska.

— Z życia Litwinki 1827—1874. Z listów i notatek złożył Bronisław Zaleski. Poznań 1876. Żupański.

Gałęź piśmiennictwa pamiętnikowego, na Zachodzie tak bujnie rozkwitła, u nas rozwinęła się stosunkowo daleko mniej. Gwarne życie publiczne, wojny i klęski rozliczne, niemniej i podejrzliwość rządów nie sprzyjały rozwojowi tego rodzaju piśmiennictwa. W ostatnich czasach naznaczyć musimy widoczny zwrot ku lepszemu. Z listów i notatek pani Heleny ze Skirmunttów Skirmunttowej, przechowujących się dziś w Rzymie, odtworzył nam autor życie niedawno zgasłej artystki, której imię znane jest szerszemu gronu rodaków, którzy oglądali piękne jej utworu szachy na wystawie wiedeńskiej, w Krakowie i we Lwowie. Przy końcu dzieła jest dodany spis prac artystycznych Pani Heleny Skirmunttowej tak w rzeźbie jak i w malowidle. Pan Bronisław Zaleski zasłużył się już dawniej piśmiennictwu zebraniem korespondencji krajowej Stanisława Augusta z lat 1784—1792 wyjętej z 24 woluminów korespondencji tegoż króla znajdujących się w Bibliotece księcia Czartoryskiego w Paryżu.

— O pracy. Odczyt miany w Warszawie przez panią Walerję Marrené, na korzyść osad rolnych dla małoletnich przestępców. Nakład Gubrynowicza i Schmidta. Lwów 1876.

Rzecz dobrze napisana, choć może nie zbyt treściwie, co jest wadą wszystkich prac kobiecych, i z pożytkiem może być czytana przez koła najszersze.

## Wiadomości z kraju i ze świata.

### Literatura, nauka i sztuka.

— We środę przedstawiono na naszej scenie dawno już nie dawaną komedję A. Fredry „Dożywocie.“ Mimo iż przez ciągłe granie francuskich sztuk aktorzy nasi odwykli już od Fredrowskich arcydzieł, przedstawienie udało się wcale zadawalająco, za co głównie zasługę przypisać należy p. Dobrzańskiemu, który z prawdziwie artystycznym zapałem i sumiennością odegrał forsowną rolę Łatki. Nie zaszkodziłoby tylko, gdyby się był nieco mitygował w ruchach, które były zanadto młodzieńcze. Oprócz p. Dobrzańskiego wymienić należy p. Woleńskiego (Birbancki) i Zamojskiego (Michał Lagena). P. Zboiński, zwykle wyborny w charakterystycznych rolach ojców, stworzył z Orgona typ pełen prawdy. —

W czwartek przedstawiono po raz pierwszy pełną dramatycznej siły operę Verdiego „Foscari“ (I due Foscari). Główne role spoczywały w ręku pp. Gabbi, Zakrzewskiego, Köhlera i Tercuzzego. Przedstawienie wypadło bardzo dobrze z wyjątkiem niektórych małych usterek nieuniknionych na pierwszem przedstawieniu. Publiczności było nie wiele, co przypisać należy wyludnieniu miasta i trapiącej nas kanikule.

— Sławny powieściopisarz amerykański. Bret-Harte napisał wspaniały romans pt. Gabriel Conroy. Przekład tego utworu mamy już w tece i publikacja jego w „Tygodniu“ rozpocznie się w ciągu tego kwartału, obok powieści J. I. Kraszewskiego.

— Dzieło Juljusza Klaczki: Dwaj kanclerze, ogłoszone w języku francuskim, wyszło teraz w Bazylei w pierwszym przekładzie niemieckim.

— Offenbach, który jakiś czas bawił na wystawie powszechnej we Filadelfji, powrócił teraz do Francji na okręcie „Canada.“

— Zjazd lekarzy z Austrji w Wiedniu odbył się dnia 31. lipca przy licznym udziale uczestników. Zgromadzeniu przedłożone zostały następujące wnioski: 1. Wszyscy lekarze każdego kraju koronnego bez różnicy utworzą jedną Izbę lekarską. 2. Zastępstwo Izby spoczywać ma w rękach Wydziału, który odpowiednio do lokalnych stosunków kraju ma być utworzony sposobem wyboru. Wydział obierze sobie przewodniczącego. 3. W miarę potrzeby mogą być zakładane oddziały. 4. Prawa i obowiązki Izby: a) Izba stanowi legalną reprezentację stanu lekarskiego odnośnego kraju; b) Przysługa jej prawo we wszelkich sprawach tego stanu przedsiębrać kroki prawne, jak niemniej przysługa jej oraz kompetencja wykonawcza. c) Władza dyscyplinarna na zasadzie mającego się ustanowić regulaminu; d) Bądź to w własnym zakresie działania, bądź przy pomocy członków Izby przedsiębrać może wszelkie kroki w sprawach ogólno-sanitarnych i hygienicznych lub dotyczących interesów stanu; e) Po zmianie ustawy z d. 30. kwietnia 1870 r. o krajowych radach zdrowia, umówiona liczba członków Izby wejść ma w skład tychże rad.. Powinności Izby: a) Izba obowiązaną jest zwracać pilną uwagę na sprawy toczące się w zakresie działania władz państwowych i autonomicznych, względnie zdrowia publicznego lub kwestji lekarskich i żądać na właściwej drodze uczynienia zadość tym sprawom, jakoteż utrzymywać czucie z kołami naukowemi lekarskiemi; b) w obrębie swego zakresu działania starać się usilnie o dobro stanu lekarskiego c) Starać się o rozwój instytucji humanitarnych, o zakładanie kas dla wzajemnej pomocy i tym podobnych zakładów. 5. Na gruncie tych zasad mają być ułożone statuty przez ankietę, przyczem za podstawę służyć muszą uchwały pierwszego i drugiego zjazdu lekarzy. 6. Zgromadzenie drugiego zjazdu lekarzy uważa za konieczne, aby ustawa o organizacji sanitarnej wprowadzoną została, a tem samem mianowanie wszędzie lekarzy gminnych i miejscowych rad zdrowia. 7. Zgromadzenie oświadcza się przeciw przymusowi lekarskiemu i poleca swemu Wydziałowi wykonawczemu wnieść w tej mierze motywowaną petycję do Rady państwa.

— Donoszono już, że w Krakowie prokuratorja skonfiskowała niedawno „Wieczory pod lipą,“ którego to dzieła już przedtem ministerjum zabroniło używać w szkołach. Wypada tu objaśnić że tak konfiskata jak zakaz ministerjalny odnosiły się do jednej tylko edycji tego dzieła wydanej w Krakowie w r. 1872, gdzie podobno bez wiedzy autora dodaną została część traktująca o wypadkach od r. 1831 do ostatnich czasów, która obudziła skrupuły p. ministra i p. prokuratora. Inne edycje, np. krakowska z r. 1872. dochodzą tylko do powstania listopadowego, inkryminowanych ustępów nie zawierają, w zakazie ministerjalnym nie są wymienione, konfiskacie nie uległy, nic zatem nie sprzeciwia się używaniu ich w szkołach, dla których dziełko to tem jest potrzebniejsze, że innego tak treściwego i przystępnego a tak znakomitem piórem skreślonego podręcznika do nauki dziejów polskich jak „Wieczory pod lipą“ nie mamy.

— Dr. Grzymała, według „Gaz. Warsz.“, zaleca jako środek przeciw wodowstrętowi czyli wściekliźnie oset, zwany czartopłochem, „xanthium spinosum,“ który podaje w formie sproszkowanego liścia tego ostu 3 razy dziennie po 0·6 gram przez 3 tygodnie. Dr. Grzymała twierdzi, iż około 100 osób leczył tym proszkiem. Powyższe dozy zadawał osobom dorosłym.

— Dr. Tadeusz Pilat, profesor Uniwersytetu i dyrektor biura statystycznego przy Wydziale krajowym, został wybrany członkiem korespondentem centralnej komisji statystycznej we Wiedniu. Jest to pierwszy Polak powołany do tej instytucji na pół urzędowej a na pół uczonej.

— Akademja sztuk pięknych w Wiedniu przyznała między innemi dwom wychowańcom swoim z Krakowa nagrody z różnych pochodzące fundacyj, a mianowicie p. Franciszek Krudowski otrzymał nagrodę Lampiego za najlepsze rysunki z natury i p. Ludwik Gędłek stypendjum za szereg prac swoich rzeźbiarskich.

— Na ostatniem tegorocznem posiedzeniu Akademji umiejętności w Wiedniu została przyjętą rozprawa prof. Żmurki zatytułowana: „Ueber Kriterien höherer Ordnung zur Unterscheidung der relativen Maxima nad Minima bestimmter Integrale bei vorhandenem Systeme zweifelhafter Nachbarwerthe“ i przeznaczoną do umieszczenia w pamiętnikach tejże Akademji.

### Wystawy.

— We Lwowie odbędzie się w tym roku, mianowicie od 7go do 11go września, wystawa ogrodniczo sadowniczo-pszczelnicza.

— We Lwowie od 6go września do 4go października r. 1876 odbędzie się wielka wystawa przemysłowo-rolnicza. Miejscem wystawy jest plac Jabłonowskich, gdzie staną odpowiednie pawilony. Osoby interesowane mogą w pismach politycznych znaleźć cały program wystawy wraz z bliższemi warunkami.

— Lipskie Stowarzyszenie ogrodników i miłośników ogrodnictwa urządza w dniach 18go do 27go sierpnia wielką wystawę roślin doniczkowych i grządkowych, krzewów, owoców, jarzyn, narzędzi i sprzętów ogrodniczych, ławek i stolików ogrodowych, ornamentyki ogrodowej itp. W programie rozesłanym przez Wydział wystawy czytamy, że za odszczególniające się okazy rozdane będą medale, a mianowicie 24 złotych, 104 srebrnych i 84 bronzowych, tudzież nagrody. Adres Wydziału wystawy: Pfaffendorfer-Hof, Leipzig.

### Adres Polaków do Amerykanów.

— Adres polski do Ameryki został już prezydentowi Stanów Zjednoczonych doręczony. Z tego powodu otrzymał hr. Plater od pana Rublée, posła Stanów Zjednoczonych Ameryki w Bernie następujące pismo: Mam zaszczyt pana hrabiego uwiadomić, żem otrzymał depeszę od pana Hamiltona Fisch, sekretarza stanów Zjednoczonych Ameryki, w odpowiedzi na list przesłany przez pana hrabiego do prezesa tychże Stanów, z adresem Polaków opatrzonym licznemi podpisami, z powodu naszej stuletniej rocznicy. Depesza wysłaną została 1go lipca bieżącego roku i znajduje się w niej następny ustęp: „Jesteś pan upoważniony zawiadomić hrabiego Platera, że prezydent Grant otrzymał z wielkiem ukontentowaniem wyrazy współczucia, znajdujące się w adresie Polaków, z powodu rocznicy stuletniej, którą mamy wkrótce obchodzić. Upewnij pan hrabiego Platera, że życzenia pomyślności wyrażone w tym adresie, lud Stanów Zjednoczonych odpłaca największą wzajemnością.“ Proszę przyjąć etc. Horacy Rublee.

### Wykopalisko.

— W ruinach świątyń azteckich, w Meksyku znaleziono w ostatnich latach kilka olbrzymich aerolitów. którym indyjskie plemię Azteków (w XIV stuleciu) jak się zdaje oddawało cześć boską. Podług dziennika „Cincin. Ztg.“ zamożny kupiec pewien z miasta Chihuahua, dawnego siedliska Azteków, posłał w tych czasach na wystawę filadelfijską jeden z tych aeorolitów, ważący około 20 centnarów.

### Podróże.

— Kapitan Boyton, słynny pływak, który w wynalezionym przez siebie ubiorze, przepłynął niedawno kanał La Manche, zamierza w ten sam sposób odbyć podróż na około świata. Poświęca na tę oryginalną podróż pięć lat czasu, a rozpoczyna ją od Petersburga. Wypłynąwszy z zatoki Fińskiej i trzymając się ciągle brzegów lądu, opłynie Szwecję, Norwegję, Danję, następnie Francję, Portugalję, Hiszpanję, następnie około Włoch i Turcji do kanału suezkiego, ztamtąd przez Bombaj, Madrer, Kalkutę, brzegami Jawy, Australji, królestwa Siamu, Chin i Japonji do San Francisco, międzymorze Pannonii i Nowego Jorku. Tylko w koniecznych, nieuchronnych wypadkach, posługiwać się będzie okrętami i kolejami żelaznemi.

### Gospodarstwo.

— Właściciele chmielu powinni u nas trzymać się w cenie, ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa artykuł ten pójdzie znacznie w górę. Jak z Trzeciela do „Posener Ztg.“ donoszą, rzeczą jest dotąd wątpliwą, czy w roku bieżącym chmiel sprzątnąć będzie można. Większa bowiem część chmielników przybrała kolor rudawy i uschła prawie zupełnie, tak że wielu właścicieli zajmuje się już rudowaniem chmielu, by gruntu użyć pod inne zasiewy. Mała tylko liczba chmielników pozostała zieloną i zdrową. Podobnie stoi chmiel w kilkumilowym okręgu. W skutek niepomyślnych widoków takich co do żniwa podskoczyły znacznie ceny starego chmielu. I tak płacą obecnie za towar zeszłoroczny, za który dotąd 60—70 marek za centnar płacono, 100—120 marek. Za towar z lat 1873 i 1874, którego oddawna już wcale nie żądano, podają obecnie znowu 27—30 marek.

— Warszawski *Wiek* donosi: Postępowanie „Ogólnego niemieckiego Towarzystwa ubezpieczeń od gradobicia w Berlinie,“ z obywatelami z okolic Sieradza, którzy się w przeszłym roku w niem zabezpieczyli, jest zapewne jeszcze w świeżej pamięci. Wiadomo bowiem, że poszkodowanym, Towarzystwo nie tylko nie wystawiło sumy zabezpieczonej, ale nadto ich jeszcze szkalowało w publicznych pismach, przezywając ich piratami gradowemi, twierdząc że przez przekupstwo taksatora — jednego z dyrektorów — chcieli odebrać wyższe wynagrodzenie, niżeli im się należało. Pokrzywdzeni moralnie i materjalnie zapozwali dyrekcję „Allgemeine deutsche Hagel-Versicherung Gesellschaft“ (tak brzmi urzędowy tytuł,) i proces dotąd nieukończony. Jak mówią, nie ulega wątpliwości, że owi wrzekomi piraci gradowi proces wygrają, w następstwie czego, Towarzystwo wzmiankowane słusznie nazwać będzie można: „Allgemeine deutsche Bauerfänger-Gesellschaft auf Hagelpolicen,“ czyli po polsku: Ogólne niemieckie Stowarzyszenie łapania fryców na police od gradobicia Oprócz procesu wzmiankowanego, toczy się jeszcze kilka innych z których główniejszy u nas proces z notarjuszem Lewandowskim, z kilkoma gospodarzami z różnych dzielnic Niemiec. W ogóle, toczy się przeciwko owemu Stowarzyszeniu łapania fryców, przeszło 20 procesów które, jak się zdaje wygrają ubezpieczeni. Pewien obywatel, Niemiec, z okolicy Torunia, był zabezpieczony w „Allgem. deutsche Hagel-Versich. Gesellschaft,“ na 12.000 marek. Grad mu prawie cały plon tegoroczny zniszczył, a on się naturalnie spodziewał że mu Towarzystwo całą szkodę wynagrodzi. Omylił się przecież. Sam dyrektor Michel zjechał dla uregulowania tej szkody, dając mu — dziesiątą część zabezpieczonej sumy! Chudziak wolał chudą zgodę niż tłusty proces: potrzebował pieniędzy i wziął co łąska pana Michela dała. W skutek tych i tym podobnych wydarzeń, już w tym roku z Poznańskiego i z Prus prawie o połowę mniej niż w przeszłym roku zabezpieczyło się osób. Przestrzedz należy każdego przed tem towarzystwem, którego publikowane zasady zresztą są wyborne. I pisma niemieckie już coś źle o niem przebąkują i lada chwila może w interesie publiczności jawną wypowiedzą mu wojnę.

### Szkolnictwo.

— Na Uniwersytecie Jagiellońskim otrzymali stopień doktora wszech nauk lekarskich, pp. August Kwaśnicki z Ukrainy, b. lekarz pułku dragonów gwardji sułtańskiej i Józef Prus Studziński z Moszczanicy, a stopień doktora medycyny pan Maksymiljan Kohn z Limanowy.

### Nekrologja.

— W Dreźnie umarł w tych dniach znany humorysta i komedjopisarz dr. Lederer. Kilka jego komedyj jako to: "Die kranken Doktoren," „Geistige Liebe,“ „Häusliches Wieren,“ „Die weiblichen Studenten“ utrzymywały się długo w repertoarzu. Sławę sobie zjednał przeważnie przez dowcipkowanie w salonach Drezdeńskich, których był ulubieńcem. Nieporównany humor tryskał z każdego jego słowa, jego żarty i *bons mots* powtarzali z ust do ust. Zmarły liczył lat 68.

## ROZMAITOŚCI.

— Gazeta La Plata, wychodząca w Buenos Ayres w Ameryce południowej powstaje ze zgrozą w kilku artykułach przeciwko barbarzyńskiemu handlowi białemi niewolnicami, jaki się odbywa na wielką skalę w Buenos Ayres. Uwagi gazety La Plata w tej mierze i przestrogi jakie daje dla rządów i publiczności, zasługują tem więcej na uwzględnienie, że się opierają na faktach i zeznaniach licznych wobec władzy i w obec konsulatu austro-węgierskiego. Przytoczonych tu kilka najświeższych szczegółów, które władza w Buenos Ayres poświadcza, a za których prawdziwość konsulat austro-węgierski ręczy, przedstawiają bezeceność tego rodzaju handlu i niechaj posłużą dla przestrogi. Gazeta La Plata pisze pod dniem 23 kwietnia rb, „Prawdopodobnie władze naszego miasta (Buenos Ayres) nie wiedzą nic o tem, że w mieście tutejszem odbywają się targi na dziewczyny rozmaite, sprowadzane z Europy i że nieszczęśliwe te istoty, będące zwykle w bardzo młodym wieku, są prawdopodobnie jak skóry i tym podobne rzeczy przedmiotem handlu. Niestety targi te, przy których robią się najbezeceniejsze układy, odbywają się publicznie i wśród białego dnia — a władze dotychczas nie wystąpiły przeciwko temu. Do tej chwili nawet i prasa tutejsza nie znalazła ani jednego słówka nagany dla handlu białemi niewolnicami, dla handlu, który każdego uczciwego człowieka przejąć musi zgrozą i oburzeniem. Tak np. pisze dalej wspomniona gazeta: „Handlarz H. Gerber mieszkający w Calle Temple 368 sprowadził w czerwcu 1875 r. na targ 12 dziewczyn, z których dwie sprzedał zaraz innemu handlarzowi mieszkającemu w Rossario de Santa Fé (za jaką cenę nie można się było dowiedzieć.) Jedna z tych nieszczęśliwych istot, jakaś N. W. przeszła po $5^1/_2$ miesięcznym pobycie w domu Gerbera sposobem sprzedaży za cenę 14,000 talarów papierowych (= 2295 marek) w ręce Izydora Wolfa mieszkajacego w Montevideo, Calle 25 de Mago nr. 38, który ją znowu po dwóch miesiącach za 18,000 tal. papierowych (= 2952 mar.) dalej odprzedał. Wszystko to odbywało się bez wiedzy i woli owej niewolnicy, którą jej właściciele uważali tylko za rzecz lub za przedmiot handlu.“ Biedaczka wybierając się z miejsca rodzinnego w służbę gdzieś daleko, nie wiedziała w jaką łapkę wpadnie. — „Ostatnim jej właścicielem był Karol Rock namieszkały w Buenos Ayres na Calle Corrientes nr. 509, od niego bowiem uciekła nieboraczka wraz z towarzyszką, skacząc z Azotei z niebezpieczeństwem własnego życia.“ Dnia 5 maja pisze znowu owa gazeta: „Handlarz białych niewolnic A. Hönig, mieszkający na Cale Corrientes 506, uwiódł z Europy 16 młodych dziewczyn. Jedna z nich, jakaś J. B. zostawała przez 6 miesięcy w jego domu, poczem sprzedana za 17,000 tal. papierowych (= 2788 marek) dostała się jakiemuś J. Wolfowi (prawdopodobnie wyżej wymienionemu Izydorowi Wolfowi) w Montevideo, Calle 25 de Mago 38, u którego zostawała przez trzy miesiące. Ztąd dopiero za pośrednictwem pewnej szlachetnej osoby, która litując się nad niedolą i opłakanym stanem niewolnicy, uwiadomiła o tem władze, udało się biednej dziewczynie wydostać się na wolność, przyczem w obecności sędziego pokoju i jako też i szefa owego okręgu zrobiła dnia 23 kwietnia rb. powyższe zeznanie, za którego prawdziwość ręczy konsulat austro-węgierski. W grudniu — pisze dalej wspomniana gazeta — jak się to i z gazet innych owego czasu wykazuje, sprowadził handlarz A Weissman siedm dziewczyn z Europy. Jedna z nich zeznała w tamtejszym konsulacie austro-węgierskim co następuje: Ów handlarz A. Weissman przybył pewnego dnia do Weissenburga w Węgrzech a łudząc rozmaitemi pozorami i robiąc wielkie obietnice, zgodził cztery dziewczyny pod pozorem służby do Medjolanu i uwiódł je z sobą. Zamiast do Medjolanu zawiózł te biedaczki o niczem nie wiedzące do Marsylji, gdzie już na niego czekał wspólnik jego, mający jeszcze trzy dziewczyny uwiedzione w podobny sposób. Tu obudziło się dopiero u dziewczyn podejrzenie ku ich opiekunom, lecz ponieważ żadna nie znała języka francuskiego (umiały bowiem tylko po niemiecku) nie mogły się nikomu zwierzyć i poddając się swemu losowi, były zmuszone zostać pod opieką agentów, w których ręce samochcąc wpadły. Dnia tego, którego miał odpłynąć z Marsylji okręt do Buenos Ayres, dano im napojów upajających i przeniesiono je w stanie zupełnie bezprzytomnym na okręt. Dopiero gdy otrzeźwiały i spostrzegły się na otwartem morzu, poznały swój stan opłakany, poznały, że są niewolnicami i że powrót im zupełnie odcięty. — Tak przybyły do Montevideo — oczekiwane przez Adolfa Höniga, który zaraz się też zjawił na pokładzie okrętu i cztery najładniejsze z nich kupił za cenę nadzwyczaj wysoką. (Ceny dokładnie oznaczyć nie umiała dziewczyna przy zeznaniu.) Pozostałe trzy dziewczyny sprzedał Weissman w Buenos Ayres Gerberowi. Obliszono później, że handlarz Weissmann otrzymał 150,000 tal. pap. (= 24,600 mar.) za owe 7 dziewczyn. Konsulat austrjacko-węgierski dowiedział się o tym bezecnym handlu, zacytował owych handlarzy — lecz ci potrafili się wykręcić i przedstawili na żądanie jakieś dziewczyny które nie pochodziły wcale z Europy; — nic im też za to nie zrobiono. Jedna z owych trzech dziewczyn sprzedanych w Buenos Ayres jakaś B. P. była przez dwa miesiące w domu znanego już A. Hönig, który ją sprzedał znowu jakiemuś Neuman w Montevideo, Cale Solis No. 46 za 2000 tal. pap. (czyli 328 marek). Ztąd zastawszy przypadkiem drzwi nie zamknięte, uciekła jak stała, zostawiając swe rzeczy w domu Neumana, który za wydanie tychże żądał 300 Pezos (czyli 1230 marek.) Biedna dziewczyna chciała żebrząc uzbierać kwotę na wykupienie rzeczy, lecz nieznajomość języka krajowego stawiała jej w tej mierze nieprzebyte trudności. Udała się wreszcie z prośbą do konsulatu, aby ten wziąwszy ją pod opiekę zażądał wydania rzeczy — na to jednakże odebrała odmowną odpowiedź, że konsulat w tej sprawie nic uczynić nie może — że ma się udać do policji. Tak się też stało i z pomocą policji rzeczy odebrała. Gazeta La Plata protestuje przeciwko takiemu postępowaniu konsulatu, którego obowiązkiem jest brać w opiekę i bronić poddanych swego kraju, ile tylko razy do niego w tym celu się udadzą. W końcu pisze owa gazeta: „Ponieważ mamy pewną wiadomość, że co dzień wyczekują w Buenos Ayres przybycia nowych niewolnic statkiem Poitou, kursującym między Marsylją i Buenos-Ayres, (gdyż Marsylja ma być głównym portem z którego wysyłają towary tego rodzaju), przeto zwracamy przedewszystkiem na to uwagę rządu.“ Z artykułów pomienionej gazety nie wykazuje się wcale, pod jakiemi warunkami zabierają zwykle agenci te nieszczęśliwe dziewczyny z Europy, domyślać się jednakże można, że jeśli jakie układy robią, to być może podobne do układów zawieranych z wychodźcami do Brazylji, którzy zobowiązują się przez tyle a tyle lat pracować dla agenta, dopóki nie odrobią kosztów przeprawy, a którzy tem samem zaprzedają siebie i swą wolność agentowi na całe lata; agent zaś może odsprzedać takiego niewolnika komu innemu, ten zaś trzeciemu itd. Że interes tego rodzaju znaczne przynosi zyski i że z tego powodu agenci wszelkich sposobów używają, aby dostarczyć towaru na targi białych niewolnic — na to już wiele razy zwracano uwagę. Rozmaitemi obietnicami wielkim zarobkiem, przedstawianiem w świetnych kolorach stosunków tamtejszych, zohydzaniem wszystkiego tego co swoje, łudzą i uwodzą łatwowierne dziewczyny a dostawszy je w swe sidła, wywożą i sprzedają na hańbę i zbezczeszczenie i znowu wracają aby szukać nowych ofiar. Uderzającem też jest, że wszyscy ci handlarze, których gazeta La Plata wymienia, noszą nazwiska niemieckie i tak: Gerber, Wolf, Rock, Hönig, Neuman i Weissman itd. Czyżby tylko Niemcy tamtejsi mieli się zajmować przemysłem tego rodzaju? Oto ich cywilizacja! Z przytoczonych kilku przypadków wykazuje się jak pilnie i z jaką przezornością strzegą agenci swych ofiar; zaledwo tysiącznej części tych biednych istot uda się uciec i szukać opieki u władzy. Na wezwanie udzielają też władze tamtejsze pomocy, lecz same nic nie czynią aby wyratować te nieszczęśliwe ofiary z rąk agentów. Tem więcej przeto powinno być obowiązkiem prasy jako też i każdego uczciwego człowieka przestrzegać łatwowiernych i przedstawić im los jaki ich czeka, jeżeli bezmyślnie dadzą się złowić w sieci tych bezecnych agentów namawiających do wychodźtwa do Ameryki południowej, lecz to nie wystarcza; agenci mimo to prowadzą rzemiosło swe bardzo umiejętnie i uwodząc liczne ofiary na hańbę i spodlenie zarabiają dużo pieniędzy. Dla tego też rozszerzanie tych wiadomości i objaśnianie w tej mierze mianowicie w tych kołach, które najwięcej ofiar do tego handlu dostarczają, mogą daleko prędzej i lepiej ochronić łatwowierne od nieszczęścia i upadku, niż wszelkie w tej mierze wydawane prawa i rozporządzenia rządowe.

— W roku 1857, w stanie New-York, w hrabstwie Quandago, wykopano olbrzymi posąg, wysokości 9 stóp. Posąg leżał w mule wyschniętego niedawno jeziora. Przedśtawiał on mężczyznę, o szczególnej powierzchowności, i poniekąd przypominał starożytne posągi assyryjskie i egipskie. Archeologiczny ten zabytek zrobił w całym kraju nadzwyczajne wrażenie. Wszystkie dzienniki umieszczały szczegółowe opisy, a uczeni łamali sobie głowy zastanawiając się nad pytaniem, z jakiej epoki może być ten zabytek. Nareszcie stanęło na tem, że posąg jest starożytnym, że ma lat tysiące, słowem że jest dziełem nieznanej dziś cywilizacji, która ongi istniała w Ameryce. Tysiące ciekawych przyjeżdżało do posiadacza rzadkości, którym był prosty fermer, lecz równocześnie na tyle sprytny, że za oglądanie kamiennego olbrzyma kazał sobie płacić. Wkrótce też setki dolarów zasiliły chudą jego kasę. Pewien bardzo uczony profesor uniwersytetu w Nowym Yorku, pierwszy znawca starożytności, przyjechał do Quandago, a przypatrzywszy się uważnie posągowi orzekł, że drogocenny monolit, przedstawia bożka Baala, którego niegdyś czcili Babilończycy, Chaldejczycy i Kartagińczycy. Z tego wywnioskowano że marynarze owych narodów w zamierzchłej przeszłości dostawali się aż do Ameryki. Po orzeczeniu uczonego profesora, jakiś miłośnik i zbieracz starożytności zapłacił właścicielowi za posąg 15.000 dolarów. Wkrótce atoli doniosły dzienniki, że dobroduszny fermer, jest lisem jakiego w całej Ameryce poszukać. Oto on sam własnemi rękami wykuł bożka z kamienia, a zakopawszy go na dłuższy czas, potem z ziemi wydobył. Po tem nieszczęsnem odkryciu nabywca nie mógł dłużej patrzeć na Baala i sprzedał go na licytacji za 200 dolarów, które mu zapłacił sławny Barnum założyciel muzeum „humbugów amerykańskich.“

— Beethoven w młodości swojej grywał często na fortepjanie, ale z większą przyjemnością na skrzypcach. Namiętności swojej oddawał się tak gorliwie, że matka tylko gderaniem mogła go zmusić, aby przyszedł na objad lub kolację. Raz zobaczyła syna, jak on grając na skrzypcach, stał na środku pokoju, a nad skrzypcami wisiał nieruchomo olbrzymi pająk, który spuścił się z sufitu. Matka rozgniewana, że syn gra i na objad nie idzie, a w części także wstrętem powodowana, rzuciła pająka na ziemię i nogą go rozgniotła. Beethoven, który z natury łatwo się unosił, zobaczywszy to, rzucił skrzypce na ziemię i połamał je w drobne kawałki. W jego samotności, ten pająk był jedynym jego słuchaczem, jedynym jego przyjacielem, jedyną istotą która go rozumiała, on jemu grał, a teraz ten biedny towarzysz leżał bez życia.

— W Irlandji, niedaleko Ahtrim, znajduje się szczególne jezioro, Lough Morne, które położone na 500 stóp nad powierzchnią morza, nie ma przypływu. Na małym strumyczku, który wycieka z jeziora, stoi młyn o jednym kamieniu. Brzegi są nagie, bez drzew i krzewów, a długość jeziora wynosi milę angielską. Lud okoliczny opowiada o jego powstaniu gadkę następującą: Na tem samem miejscu, gdzie dziś jest jezioro, stało niegdyś piękne miasto. Otóż zdarzyło się raz że przyszedł jakiś cudzoziemiec prosząc o gościnność. Mieszkańcy odmówili mu jej z pogardą. Nieszczęśliwy usiadł na najbliższym pagórku i rzekł: Oby z tego miasta zrobiło się jutro jezioro. Zaledwie tych słów domówił, gdy ziemia poczęła się zapadać, i po kilku minutach woda wszystko zalała. Tak powstało „Jezioro Poranku“ gdyż Lough-Morne nie znaczy nic innego.

---

### Treść Nr. 32.



Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).